NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 1 Rsb. 80 kop., z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 4 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor.—16 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA, KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop.

Rok III. Kraków, 24 lutego 1906 r. Nr. 8.

Zamach stanu na Węgrzech.

Po rozwiązaniuSsejmu w Budapeszcie 19 bm. policya opróżnia gmach parlamentu.





Warszawscy redaktorowie pod sądem: Kazimierz Zalewski, znakomity komedyopisarz i zasłużony redaktor i krytyk.

Warszawscy redaktorowie pod sądem.

Przepisy nowej ustawy prasowej rosyjskiej wywiodły wprawdzie prasę polską w Królestwie z pod cenzury uprzedniej, lecz natomiast obarczyły redaktorów i wydawców pism podwójnie ciężką odpowiedzialnością osobistą za treść artykułów pod postacią kary pieniężnej lub więzienia a nadto zawieszeszenia pisma od chwili konfiskaty inkryminowanego numeru aż do orzeczenia sądu. To też prócz "ugodowych" niema dziś pisma, któreby albo nie uległo zawieszeniu lub też któregoby redaktorwydawca nie był pozwany przed sąd.

Pierwszy stawał jubilat redaktor „Kuryera Porannego" p. Feliks Fryze, którego portret zamieściliśmy w chwili zawieszenia tego wydawnictwa. Następnie daliśmy fotografię drugiego podsądnego redaktora „Nowin", Władysława Okręta. Trzeci stanie przed sądem w najbliższym czasie Kazimierz Zalewski, od lat 30-tu redaktor i wydawca „Wieku", przemianowanego z. r. na „Kuryer Narodowy". Osobistość to znana powszechnie w Warszawie, przelotnie tylko i to w przejeździe do wód widywana dawniej w Krakowie; nazwisko zaś Zalewskiego jako autora dwudziestu kilku komedyj powtarzają od lat tylu afisze wszystkich teatrów polskich, tak jak i Polska cała czytała latami całemi ten sam podpis pod recenzyami teatralnemi „Kuryera warszawskiego" i „Wieku". Jego „Kuryer Narodowy" z chwilą zapowiedzi konstytucyj szczerze i otwarcie wypowiadał się we wszystkich sprawach narodowych i społecznych i naraził się na zawieszenie.

Zanim obrońca redaktora, adwokat przysięgły Leon Papieski wyświetli sprawę przed sądem, podajemy portret Zalewskiego i kilka dat z jego życiorysu. Urodzony 1850 w Płocku, wstąpił w r. 1865 do szkoły głównej początkowo jako student wydziału filozoficznego a następnie prawnego. Na trzecim już kursie napisał pierwszą komedyę p. t. „Bez posagu", którą rozpoczął karyerę autorską pełną uznania i zasługi dla sceny polskiej, dzięki takim sztukom jak „Przed ślubem", „Górą nasi", „Małżeństwo Apfel", „Jak myślicie", „Syn" itp. Równocześnie wylawał i kierował codziennem pismem „Wiek", a w ostatnich latach podjął początkowo sam, później na czele akcyjnego Towarzystwa wspaniałe wydawnictwo „Dziejów Polskich" Augusta Sokołowskiego, jakoteż „Dziejów porozbiorowych". Wydawnictwa te podtrzymują też dziś i przedłużają jedyny ruch w kantorze „Kuryera Narodowego" na Nowym Świecie — gdy w lokalu redakcyi zaległa smutna pustka i głucha cisza, a tak samo pustką martwą stoją kaszty zecerskie w drukarni.

Błyszczący dawniej dowcipem satyrycznym i humorem autor-redaktor, dziś zgorzkniały i wykolejony z umiłowanego trybu życia teatralno redaktorskiego rzadko zasiada nawet do ulubionej partyjki szachów. Z rezygnacyą wyczekuje rozprawy sądowej i lepszych czasów, kiedy to będzie mógł odnowić wydawnictwo rozbitego dziś dziennika. *B—t.*

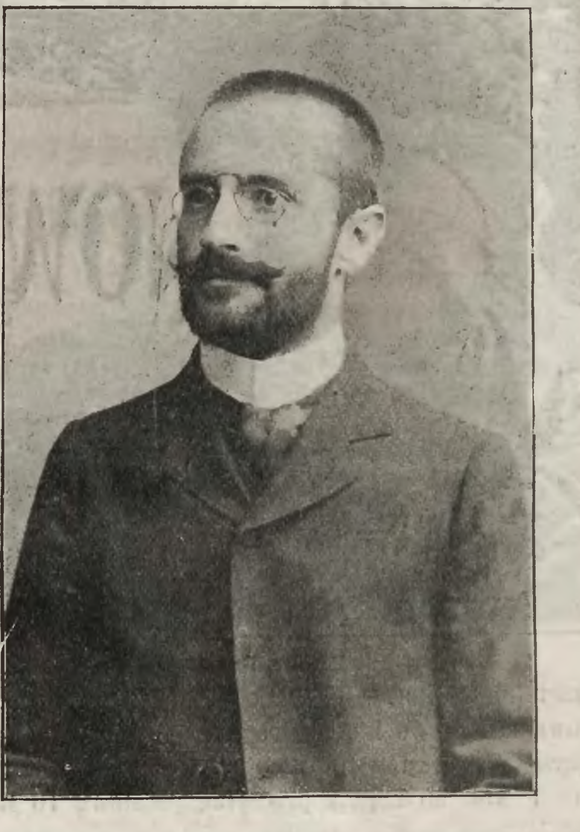
Szkoła — armatami zburzona.

Fotografia, którą tu widzi Czytelnik, przedstawia ruiny budynku szkolnego w dużej osadzie na Inflantach. W czasie powstania zbrojnego, które tam wybuchło niedawno, obradował w tej szkole komitet rewolucyjny Łotyszów. Gdy wojska nadeszły i uporały się z oddziałami powstańców, zdobyto wreszcie i siedzibę komitetu rewolucyjnego. Budynek szkolny, nie zbyt dawno kosztem 20 tys. rubli wzniesiony, rozwalono ogniem działowym, a członków komitetu rozstrzelano, pochwytawszy ich tu i owdzie wśród lasów okolicznych, dokąd zbiedz zdążyli przed przybyciem artyleryi. W szkole zaś dostano jeszcze żywego nauczyciela, którego wkrótce również rozstrzelano za to, że przewodniczył wszystkim posiedzeniom.

Dalsze palenie wsi i miasteczek w kraju nad bałtyckim ma być już zaniechane na rozkaz gen. gubernatora Sołłobuba z uwagi, iż na obracaniu w perzynę budowli najmniej cierpią sami winowajcy zwykle już rozstrzelani, a najwięcej osoby trzecie i Towarzystwa asekuracyjne. Jak się zdaje, dalszemu pustoszeniu gubernij nadbałtyckich położył kres memoryał złożony hr. Wittemu przez adwokata Groswalda, prezesa stowarzyszenia łotewskiego w Rydze, który miał długie posłuchanie u tego ministra i jeszcze bawi w Petersburgu.



Szkoła — armatami zburzona: Rozwalony ogniem działowym budynek szkolny na Inflantach, w którym obradował komitet rewolucyjny w czasie ostatniego powstania.



Odznaczenie młodego uczonego: Laureat konkursu „Przeglądu filozoficznego", dr. Jan Łukasiewicz we Lwowie

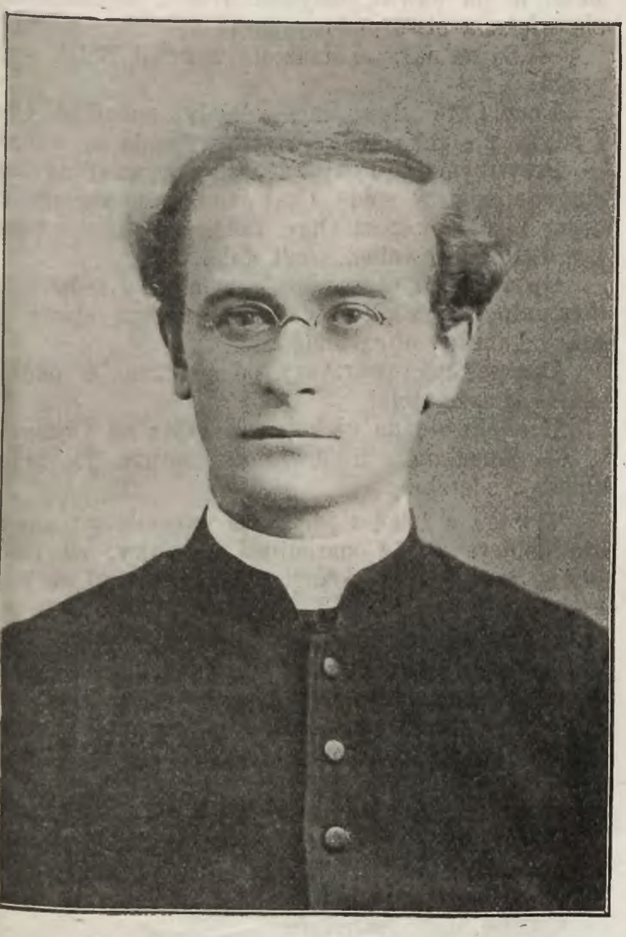
Odznaczenie młodego uczonego.

Czasopismo warszawskie „Przegląd filozoficzny" rozpisało swego czasu konkurs na dwie prace z zakresu filozofii ścisłej, podając dwa tematy: „o przyczynowości" i „metody w etyce". Prac nadesłano wiele, sąd konkursowy zaś, złożony z wybitnych polskich filozofów, przyznał jedną nagrodę w wysokości 500 rb. znanemu uczonemu dr. J. Ochorowiczowi z Warszawy, drugą zaś, w tej samej wysokości, za pracę na temat: „o przyczynowości", dr. Janowi Łukasiewiczowi, jednemu z najmłodszych naszych uczonych. Oto jego portret.

Dr Jan Łukasiewicz liczy dopiero niespełna 28 lat, urodził się bowiem w r. 1878 we Lwowie. Tam też uczęszczał do szkół, a następnie na uniwersytet, gdzie studyował filozofię ścisłą pod kierunkiem prof. dr Twardowskiego. Już jako student uniwersytetu zwrócił na się uwagę profesorów i kolegów wybitnemi swemi zdolnościami i niezwykłą pracowitością. Przez kilka lat był w owym czasie sekretarzem a następnie przewodniczącym kółka filozoficznego Czytelni akademickiej, a kółko to wówczas stanęło na szczycie rozwoju swego. W r. 1902 uzyskał stopień doktora filozofii, poczem otrzymawszy stypendyum z Wydziału kraj., wyjechał na dalsze studya za granicę i przez rok bawił w Berlinie a następnie w Belgii. Obecnie mieszka we Lwowie i tu oddaje się dalszym pracom i studyom.

Propagator „nowej szkoły".

Na załączonym tu portrecie księdza Jana Gralewskiego rozpozna Warszawa swego najświetniejszego i najświatlejszego kaznodzieję, a wybitnego działacza społecznego w Królestwie Polskiem. Ks. Gralewski, spadkobierca tradycyi Konarskiego, jest wielbicielem epokowych ustaw Komisyi edukacyjnej w Polsce, lecz z drugiej strony jako działacz na wskroś nowożytny pragnie przystosowania dzisiejszego systemu wychowawczego do warunków, w jakich żyje społeczeństwo nowożytne. W tym celu studyował wzorowe systemy edukacyjne w Anglii, te nawiązuje do zasad znanych Polsce od jakich stu lat



Propagator nowej szkoły: Świetny kaznodzieja warszawski, wybitny działacz społeczny w Król. Polskiem, ks. Jan Gralewski, którego odczyty we Lwowie i Krakowie wzbudziły wielkie zainteresowanie.

z górą, od czasu reformy Komisyi edukacyjnej i system swój pragnie zaszczepić na zugorowanem, ale też mocno zachwaszczonem polu wychowania publicznego w Królestwie Pol. Dlatego też poglądy ks. Gralewskiego posiadają znaczenie programu praktycznego. Pragnął on sam podzielić się nimi ze znawcami i usłyszeć ich zdanie na terenie galicyjskim, gdzie Polacy mogli przez dość długi szereg lat czynić na szkole doświadczenia. Bawiąc obecnie wśród nas, ks. Gralewski wygłosił w ubiegłym tygodniu we Lwowie i w Krakowie odczyty o nowej szkole, która powstała w 1889 w Anglii i rozszerzyła się stąd po całej Europie pod dewizą równoległego rozwijania ducha jak ciała młodzieży i kształcenia u niej poczucia piękna. Prelegent w pięknych słowach wykazał podobieństwo zachodzące między pełnemi prostoty i naturalności urządzeniami nowej szkoły angielskiej a szkołą stworzoną przez słynną polską Komisyę edukacyjną, której uchwały niestety zarzucono. Dziś przy reformie naszych szkół należy zachować to, co dobre, a usunąć — co się przeżyło. Odczyty miłego gościa warszawskiego sprawiły u nas jak najlepsze wrażenie i są przedmiotem ogólnej dyskusyi.

Nowy maestro w Krakowie.

Krakowskie konserwatoryum wezwało na opróżnione stanowisko nauczyciela śpiewu prof. Mieczysława Horbowskiego, byłego prof. konserw. w Warszawie a ostatnio w Moskwie, skąd wyjechał tem chętniej, że wojenne czasy nie dawały mu koniecznego spokoju do artystycznej pracy. Prof. Horbowski, z którego podobizną zapoznajemy dziś Czytelników, jest maestrem należącym do tej niewielkiej liczby pedagogów, posiadających świetną tradycyę starej szkoły włoskiego belcantu i znakomitą wieloletnią praktykę. W roku zeszłym ubiegło 35 lat od pierwszego publicznego występu jego w warszawskiej resursie obywatelskiej, występu — którym zaprezentował się po chlubnie ukończonej nauce w konserwatoryum tamtejszem u mistrza Ciaffei'ego. Młody śpiewak (ur. 23 lipca 1849) kształci się następnie we Włoszech u takich mistrzów jak Vanucini we Florencyi tudzież Lamperti (ojciec) w Medyolanie i naukę razem z obu Reszkemi i Mierzwińskim kończy w Paryżu u Rogera, za którego poparciem wystąpił w operze włoskiej w „Trawiacie“ i „Cyruliku“. Powodzenie i świetne przyjęcie debiutu spowodowało engagement do Florencyi (teatro Pagliano). Horbowski śpiewa z wielkiem powodzeniem w Parmie, Modenie, Medyolanie, Wenecyi, Turynie itd. Występy i tryumfy na scenach włoskich nie przeszkadzają mu jednak służyć także i sztuce ojczystej. Horbowski występuje we Lwowie, Poznaniu i Warszawie, gorąco oklaskiwany za wyborne kreacye partyj barytonowych w operach włoskich a przedewszystkiem za oryginalnie a trafnie pojętą i wspaniale zaśpiewaną partyę Janusza z Moniuszkowskiej Halki. Doskonała metoda, jaką władał utalentowany śpiewak, wielki smak artystyczny i poważne traktowanie sztuki zwróciły nań uwagę licznych zwolenników śpiewu tudzież dyrekcyi warszawskiego konserwatoryum, której udało się ostatecznie pozyskać Horbowskiego na nauczyciela śpiewu. Na tem stanowisku pozostawał lat dwanaście, zamieniając je na takie same a lukratywniejsze w Moskwie, gdzie wskutek wcześnie podpisanego kontraktu musiał odrzucić podobne propozycye konserwatoryum w Nowym Yorku a następnie w Bostonie, dokąd go polecali Reszkowie. Częste wycieczki hospitacyjne po znakomitych uczelniach zagranicznych i znajomość zażyła z takimi śpiewakami jak Reszkowie, Tamberlik, Nodin, Masini, Cotani, Aramburo, Batistini i w. i., od których starał się wydobyć tajemnice belcantu, uczyniły z Horbowskiego wybornego maestra w stawianiu głosów i znakomitego nauczyciela śpiewu. Długi szereg uczni, z których ostatnim jest znakomity tenor rosyjski Smirnow, trudnym byłby do wymienienia. Dość wspomnieć kilka nazwisk jak śp. Marya Gutman-Kwiecińska, M. Skulska, M. Kamińska-Latoszyńska, p. Carnioli (Zapałkiewiczówna), M. Grassé, występująca w Buenos Aires, Lubranicka, Edinę (Napiórkowska), Ostrowski (bas, Buenos Aires), panie Szepczyńska i Sokołowska (Cadmina) obie występujące w Paryżu, a nadto liczny szereg wysoce uzdolnionych i cenionych śpiewaczek, śpiewaków i nauczycielek śpiewu. Horbowski jest nadto wykwintnym śpiewakiem estradowym i pieśniarzem z bożej łaski, którego występy cieszyły się uznaniem słuchaczy i prasy. Oby świeżo rozpoczęta artystyczna działalność tego maestra i w naszym grodzie wydała równie świetne rezultaty.

— *urs.* —



Nowy maestro w Krakowie: Prof. Mieczysław Horbowski, świeżo pozyskany nauczyciel śpiewu w krak. konserwatoryum muzycznem.

Pałac Dumy.

O tej porze już by powinna w Petersburgu obradować Duma państwowa. Tymczasem do tej chwili niema jeszcze pewności, kiedy odbędą się wybory ostateczne do przyszłego parlamentu rosyjskiego. Tyle tylko wiadomo, gdzie będą obradowali przedstawiciele narodów pod berłem rosyjskiem żyjących. Na ten cel bowiem kazano odrestaurować i urządzić odpowiednio pałac Taurydzki, którego podobiznę znajduje czytelnik w niniejszym numerze. Towarzystwo wzajemnej pomocy rosyjskich artystów malarzy, któremu powierzono udekorowanie pałacu Taurydzkiego, ma w tych dniach już ukończyć swoje prace, z wyjątkiem tych, które ulegają zwłoce z powodu opóźnień w robotach przygotowawczych; ostatecznie jednak prace Towarzystwa mają być ukończone do 23 lutego. Ogólny koszt upiększenia dekoracyami malarskiemi pałacu Taurydzkiego, w którym będzie obradowała przyszła Duma rosyjska, wynosi około 45 tysięcy rubli.



Pałac Dumy: Pałac Taurydzki w Petersburgu, który w tych dniach ukończono wewnątrz odnawiać i dekorować, a w którym ma obradować przyszła Duma państwowa w Rosyi.

BOJOWNICY

POWIEŚĆ

osnuta na tle ostatnich wypadków w Król. Polskiem

Napisał: **ARTUR GRUSZECKI.**

39 Ciąg dalszy

Przez otwarte drzwi słyszały, jak rozporządził, aby mu telefonicznie powiedziano, jaką jest sprawa Filipa Kikolskiego?

Wrócił do salonu i z uśmiechem:

— Wkrótce powiem, czy będę mógł coś pomódz?

— O, dla pana wszystko łatwe — uśmiechnęła się pani przyjaźnie.

— Sama pani wie najlepiej, że najważniejsza sprawa idzie mi opornie — spojrzał wymownie na Olgę.

— Łatwe zwycięstwo nie jest zwycięstwem — zaśmiała się pani — czy dawno był pan u Martynowych?

I wśród tej pogawędki zabrzmiał dzwonek telefonu. Rotmistrz poszedł, słuchał, kilka razy rzucił krótkie pytanie, czekał odpowiedzi, wreszcie wrócił do pań:

— Telefon, to wspaniały wynalazek — uśmiechnął się — już wiem o protegowanym pani..... Był on pod dozorem, zauważono, że ma jakieś konszachty podejrzane, i sprawdzono, iż namawiał do organizacyi fachowej zecerów, dostarczał im broszur, a przy rewizyi znaleziono dwa numera „Wolności“ i podejrzane notatki. Do czasu wyjaśnienia i przeprowadzenia śledztwa zostanie we więzieniu, a gdy się nic więcej nie wykaże, będzie prawdopodobnie wypuszczony.

— I długo to będzie trwało?... Cóż zrobią żona, dzieci?

— Mógłbym powiedzieć, że to jego wina, i jeśli on o nich nie dbał, cóż to mnie obchodzi? Jednak ze względu na panią, i tylko dla pani, skrócę czas śledztwa, sam go przesłucham, i mam nadzieję, że za kilka dni będzie wolny.

— Serdecznie dziękuję panu — podała mu rękę, którą on ucałował.

Wszedł pan Sudkiewicz, a że miał świeże wiadomości z wojny, rozmowa z małemi przerwami toczyła się o zamierzonej ofenzywie Kuropatkina.

Sikorę wypuszczonego z więzienia, przywitano bardzo serdecznie w drukarni, wyprawiono nawet składkową ucztę w piwnicy, a ucieszony Sikora mówił:

— Nie tak mnie zmartwiło więzienie, bo co najwyżej przesiedziałbym się z pół roku, ale myślę sobie: pewno odkryją drukarnię naszą, kiedy siedzę pod kluczem. I było mi bardzo smutno, pocieszałem się tylko tem, że wy umkniecie. Lecz gdyby w naszej nieobecności zrobili rewizyę i przekopali piwnicę, hej Buczku, obłowiliby się dobrze — wskazał oczyma na kąt, gdzie zakopane były pieniądze i inne dokumenta partyjne.

— Dzisiaj uważyłam — rzekła Olga — dwóch podejrzanych dzi blisko bramy, poszłam Brzozową i weszłam odi rynku do kamienicy.

— Zdaje mi snę, że mnie śledzą — mruknął Walczak — czy zie zauważyliście tam gdzie starszego człowieka, e szpakowatą brodą, w długiem palcie? Kapelusz miękki, czarny, z wielkiem rondem.

— Ten był w podwórzu — zawołała Olga — i szedł za mną, ale wyprzedził mnie i poszedł dalej.

— To nic nie znaczy, węszą tylko... zawsze Tomasz nas uprzedzi — rzekł Bolek — ale że Heleny dzisiaj niema? Czy będzie, Stachu?

— Byłem u niej... trochę cierpiąca, ale obiecała przyjść później.

— Tem lepiej, bo dziś musimy kończyć odezwę... Do roboty.

Wśród ciszy usłyszeli nagle uderzenie drewienka o miskę.

Nadsłuchiwali nieruchomo, wpatrzeni w pudełeczko, które szarpnięte, zakołysało się znów w powietrzu.

Odezwał się łoskot drzwi otwieranych i ciężkie kroki, dudniące po kamiennych schodach.

— Idą! — szepnął Bolek. — Sikora do kasy, odkopuj! Stachu do mnie!

Skoczył w róg i palcami zakrzywionemi, krwawiąc się, odrzucał ziemię z deski, zakrywającej otwór.

Olga blada, zbierała spokojnie rzeczy, ubrania, zacierając starannie ślady, mogące zdradzić pracowników. Spojrzała na fatalne pudełeczko i w jednej chwili przystawiwszy krzesło, zdarła pudełko.

Wreszcie podnieśli wieko z otworu, a Bolek widząc, że Sikora męczy się z wydobyciem szkatułki, podbiegł mu z pomocą, rzuciwszy Oldze słowa:

— Odwagi! Nie zginiemy!

Stach spojrzał w ciemny otwór, z którego dobywała się silna woń zgnilizny i rozkładu i pomyślał: Dobrze, że Heleny niema, udusiłaby się w tym kanale. I nagle, jak błyskawica, przebiegła mu myśl: a jeśli Helena, nie wiedząc o niczem, przyjdzie do drukarni i wpadnie w ręce czyhających żandarmów! Jeśli pewna siebie zapytała Tomasza o klucz, lub jeśli Tomasza nie będzie i pójdzie do pokoju Pasty i tam ją pochwycą!?

Wstrząsły nim zimne dreszcze i patrzał niemal obłąkanym wzrokiem wokoło.

— Stachu! Dawaj sznur!

Podał bezwiednie sznur, a Bolek:

— Czy boisz się? Takiś blady.

— Helena... przyjdzie — jęknął.

— Nie puści jej Tomasz. Olgo, gotowaś?

— Jestem.

— Pierwszy pójdzie...

— Ja idę — rzekł Stach stanowczo — wezmę co każesz, ale muszę być pierwszym.

— Dobrze, niech będzie... Drugi Sikora, gdy zmęczysz się, Stachu, oddasz Sikorze szkatułkę...

Posłyszeli wyłamywanie kłódki, przekleństwa i rozkaz przyniesienia siekiery.

— Otkrojtie! po prykazu! — zabrzmiał rozkaz.

— Zaczekaj kochaneczku — zaśmiał się Bolek — trzecia Olga, a ja zamykam pochód. Lampy zabrać.

Kolejno wchodzili w otwór, w który Bolek wrzucił wszystkie druki gotowe i papiery.

Rozpoczęło się gwałtowne wysadzanie drzwi z zawias, lecz sztaby piszczały, wyginały się lekko, trzeszczały, ale nie puszczały.

Odezwały się bardzo silne uderzenia siekiery, i rozłupana deska padła i zesunęła się po ciężkiej zasłonie wojłokowej.

— Łotry, syknął żandarm — zasunęli sztaby... przynieście łom!

— Nie ujdziecie, przeklęci!

— Dostaniemy was, sukinsyny!

Grzmiały głosy w kurytarzu

Bolek schodził w otwór spokojnie, przyświecając sobie lampą, i o ile mógł starannie przysłaniał otwór do kanału, nasuwając bokiem ziemię na wieko.

— Bolku, chodź! — naglił Walczak — wpadną do piwnicy i będą nas gonili.

— Macie rewolwery — rzekł Bolek spokojnie — pogoń niemożliwa.

— Naprzód! — zawołał Sikora.

— Stójcie! — krzyknął Bolek — muszę się wrócić. Pudełko zdradzi Tomasza, to byłoby podłością.

— Pudełko zniszczone — zatrzymała go Olga za rękę — chodźmy!

— Jesteś święta — ucałował jej rękę.

Uszli kilkanaście kroków, brodząc niemal do kolan, w brudnej, cuchnącej, lepkiej cieczy. Spłoszone szczury zrazu uciekały, nadbiegły jednak inne z dalszych kanałów i czepiały się sukien, zwłaszcza spodnicy Olgi.

Po pierwszem, gwałtownem podnieceniu, nastąpiła chwila reakcyi, i teraz dopiero odczuli grozę swego położenia.

Powietrze przesycone odpadkami, zgnilizną, odchodami zwierzęcemi i ludzkiemi stawało się duszne do niemożliwości oddychania.

Ocierali się o lepkie, oślizgłe, wstrętnemi resztkami pokryte sklepienie i ściany. Cuchnące, zgniłe krople padały na nich ze wszystkich stron, a rozzuchwalone szczury wskakiwały na nich z piskiem, z chlupotem, z błyszczącemi zajadłością oczyma.

Stach szedł równo, śmiało, zdawał się być nieczułym i niewrażliwym, tylko od czasu do czasu zrzucił zbyt natrętnego szczura, przystanął, by poprawić szkatułkę i szedł naprzód.

Za nim wlókł się Sikora, często poślizgując się, przyczem uderzał głową o ściany, lub też pomagał sobie rękami. Lampę, którą niósł, stłukł wkrótce, i klnąc, stękając, zdążał za Stachem.

Olga szła sztywnie, starała się jak najmniej oddychać, i rozmyślnie odnawiała w mózgu niebezpieczeństwo odkrycia drukarni, czekający Bolka i ją stryczek, okropność śmierci, aby się znieczulić na wstrętne otoczenie.

Uszli może ze czterdzieści kroków, i Olga czuła takie osłabienie, zawrót głowy, omdlenie nóg, że z ostatnim wysiłkiem posuwała się zwolna. Wtem wypadła jej z rąk lampa i ze sykiem utonęła.

— Co ci Olgo? — spytał czule Bolek.

Odpowiedź jej zagłuszył gwałtowny stuk za nimi, a po chwili posłyszeli trzask zapadającego się wieka z otworu do kanału.

— Są na naszym śladzie! — zawołał Bolek — naprzód!

Lecz i te słowa nie zdołały pobudzić Olgi i gdyby nie ręka Bolka, byłaby upadła na wznak.

Przytrzymał ją i objąwszy w pasie, szedł zwolna, ciągnąc ją przy sobie. Czuł jednak, że słabnie, że coraz niżej opuszcza Olgę, rzucił więc lampę i mając dwie ręce wolne, szedł dalej.

Owionęło go czyściejsze powietrze i ledwie dostrzegalne światełko: dojrzał w górze otwór łączący kanał z ulicą miasta.

Zawołał na towarzyszy, odezwali się w oddali.

— Zaczekajcie!

Dowlókł się do nich i wskazując na Olgę:

— Zemdlała... Sikora, potrzymajcie ją przez chwilę... odetchnę.

Trwoga o Olgę i jej życie uczyniła go zupełnie obojętnym na smrodliwe wyziewy, na ciecz lepką, na szczury, stonogi i karaluchy, które bezkarnie łaziły po nim. Zdawało się, że on nie widzi różnicy, ani w powietrzu, ani w miejscu. Odetchnął kilka razy głęboko, otarł pot z czoła i rzekł głosem spokojnym:

— Stachu! Pilnuj lewej strony... musimy znaleźć stary kanał, bo przy ujściu nowego czekają żandarmi.

— Wiem... chodźmy!

— O jakie piętnaście kroków, odkryli stary kanał, otwór jednak był tak wąski, iż tylko jeden Sikora mógł się ruszyć.

Chwilę stali bezradnie.

— Sikoro, spód suchy? — spytał Bolek.

— Prawie.

— Bierzcie kasetkę, a ty Stachu do roboty, pomógłbym wam, ale Olga...

— Nie trzeba, zrobię swoje — mruknął Stach.

W chwiejnem oświetleniu jedynej lampy widać było jak prężyły się muskuły Stacha, słychać było jak trzeszczały stawy. Nareszcie wyrwał dwie cegły. Górne poszły łatwiej i w jakie dziesięć minut, otwór o tyle, o ile, był gotów.

— Właź Stachu, podam ci Olgę.

— Dobrze... ale idę pierwszy, słyszycie Sikoro, ja pierwszy.

— Słyszę.

W starym kanale powietrze było świeższe, a cuchnący płyn nie sięgał kostek, natomiast kanał był niższy.

Bolek próbował nieść Olgę przed sobą, na plecach, obok siebie, jednak z bardzo wielkim trudem posuwał sie zaledwie kilka kroków i odpoczywał kilka minut. Już zamierzał wezwać Sikorę, by wziął Olgę za nogi, a on sam za głowę i ręce, gdy stojąc na przeciągu świeższego powietrza, poczuł poruszenie Olgi, i szept słów niezrozumiałych.

Nachylił się i głosem najczulszej matki zaczął przemawiać.

— Obudź się Oldziu!... Uratowana jesteś! Oldziu najmilsza! najsłodsza! Otwórz twe oczęta... Obudź się!

Olga otworzyła oczy i szepnęła:

— Gdzie jestem?... Gdzie żandarmi?...

— Oldziu, to ja.

— Bolku, żyjesz! — starała się wyprostować, a uderzywszy głową o sklepienie — to kanał.. daleko jeszcze?

— Dosyć rozmowy — zawołał ostro Stach: — chodźcie naprzód!

Uszli ze sto kroków, a kanał tak zmalał, że mogli się posuwać na czworakach, a następnie tylko czołgać.

Pierwszy wysunął głowę Stach, rozejrzał się bacznie i wypełznął, z kolei wysunęli się inni.

O jakie dwadzieścia krokow błyszczała Wisła od świateł latarni.

Chwilę oddychali, rozglądali się ciekawie wokoło, doznawali wrażenia, że gdzieś z grobu, z drugiego świata, przyszli po długich wędrówkach podziemnych, i nie mogli dosyć napatrzeć się na niebo zasnute chmurami, na szemrzącą Wisłę, na huczące w górze miasto, i dosyć nacieszyć się świeżem powietrzem.

Pierwszy zerwał się Stach.

— Idę umyć się do Wisły... i odchodzę.

— Nie bądź waryatem — zawołał Bolek — jak zobaczy cię stójkowy, odprowadzi cię do cyrkułu.

— To nic nie znaczy... dojdę do Jerozolimskich nad Wisłą, a potem, jakoś podeschnie.

Za jego przykładem poszli inni, a Bolek z wielką troskliwością przynosił wodę w kapeluszu, aby zetrzeć brudy ze sukni Olgi.

— Dajcie spokój Bolku, ja sobie poradzę. We-

zmę suknię na wywrót i dobrze będzie... Tylko jak ja pokażę się w domu?

— Do siebie nie możecie wracać... Jak tylko się oczyszczę, sprowadzę dorożkę i pojedziecie do mnie, tam przyprowadzicie waszą garderobę do porządku.

— To najlepsza rada — dorzucił Sikora — ja prawie gotów jestem...

— Zaczekajcież chwilę, póki nie złapię dorożki.

— Tu żadna nie przyjedzie, dojdźmy cicho, w cieniu, do pierwszej ulicy, i tam znajdę wam dorożkę. Znam tę dzielnicę, bo tu mieszkałem.

Pod kierunkiem Sikory dotarli szczęśliwie do ulicy, i po chwili stanęła w pewnem oddaleniu dorożka, z której wysiadł Sikora, a wsadziwszy oboje do zakrytej dorożki, sam powlókł się zmęczonym krokiem do domu.

XVIII.

Na drugi dzień po niespodzianej rewizyi i ucieczce kanałem, dowiedział się Bolek bliższych szczegółów odkrycia drukarni od Komara.

— Wy, jako Jan Pasta, wzbudziliście podejrzenie stróżki — mówił Komar, gdy usiedli przy ustronnym stoliku w cukierence — za często odwiedzali was panowie i panie z miasta. I stróżka w pobliskiej knajpie opowiadała kumoszkom o waszem zagadkowem dla niej życiu. Podsłuchał tego widocznie ktoś z policyi i zaczął śledzić. Zrobiono rewizyę w mieszkaniu waszem, a gdy natrafiono na skrypt z „Wolności“, tak nastraszono stróża, iż przyznał się do oddania wam i piwnicy. Resztę sami wiecie.

— Zawsze te babskie plotki — zaklął Żalecki — co jej dyabli do mnie? Ale podgląda, myszkuje, byle mleć językiem.

— Stróż po odkryciu drukarni został aresztowany, a Tomasz ocalał i ogromnie wam wdzięczny za usunięcie śladów.

— To Olga zrobiła sama, nie ja.

— Dzielna i przytomna — pochwalił Komar, co bardzo ucieszyło Bolka — teraz szuka policya i żandarmerya Jana Pasty i Stanisława Kaliny, waszego przyjaciela, bo obaj byliście tam meldowani. Radzę wam też szczerze zniknąć na jakiś czas z Warszawy.

— Teraz sprowadzimy nową drukarnię i tak się urządzę, że sam dyabeł mnie nie znajdzie.

— Za dużo ryzykujecie, a życia nie kupicie i byłaby was wielka szkoda. Przynajmniej zmieńcie fryzurę, brodę ogólcie, a przedewszystkiem ubranie i kapelusz.

— Postaram się... nie mogę jednak pójść za waszą radą co do włosów i brody, bo zwrócę na siebie uwagę w moim cyrkule. Zresztą będą szukali Pasty wśród robotników, zecerów, ale nie wśród chemików... Kiedy zabieracie kasę i dokumenta?

— Dziś przyjdzie do was ktoś wieczorem, oddacie mu.

— Powiedzcie też Kozakowi i Skale, aby zabrali swe papiery, bo lęk mnie bierze o rewizyę.

— Gdyby nas aresztowano, nie mówiąc już o znalezieniu papierów, pieczęci, wykazów... wisielibyście, gdyż przy konfrontacyi poznanoby w was Pastę, i jeszcze raz nalegam, wyjedźcie na jakiś czas z Warszawy.

— Nie, nie mogę — odpowiedział po namyśle.

— Hm... to źle... Wiecie zapewne, że Tomasz ostrzegł jednę z waszych.

— Była?... Nic nie wiedziałem... To Helena, żona mego przyjaciela.

— Tak jest, weszła w bramę, a Tomasz skrzyczał ją, że włóczy się, wiedząc, że pracownia krawiecka zamknięta i w ten sposób uniknęła aresztowania.

— To bardzo szczęśliwie — rzekł uradowany — to ona w innym stanie.

— Uprzedźcie też waszego przyjaciela, aby zmienił się gruntownie, bo napewno go szukają... Z pieniędzy partyjnych kazano wam zatrzymać sto rubli przy sobie od wypadku, bo musicie się ratować.

— Kto kazał? — spytał z niedowierzaniem.

— Partya, zależy jej na was — spojrzał na zegarek — idźcie do domu, wysłannik po kasę wkrótce nadejdzie.

Idąc do siebie, spotkał się ze swoją sąsiadką i na jej wymówkę odpowiedział, że dziś będzie u niej na kolacyi.

— Dam panu znać, czy będę wolna — szepnęła trochę zmieszana.

— Otóż widzi pani... — zaczął; i nagle urwał skłonił się, i szybko poszedł w górę, gdyż na skręcie schodów dojrzał nietylko mundur, lecz i błyszczące oczy rotmistrza.

To spotkanie z Bolcewem zaniepokoiło go i rozdrażniło. Niespokojnie wyczekiwał wysłannika z komitetu wykonawczego, i poczuł wielką ulgę, gdy mu oddał kasę i dokumenta.

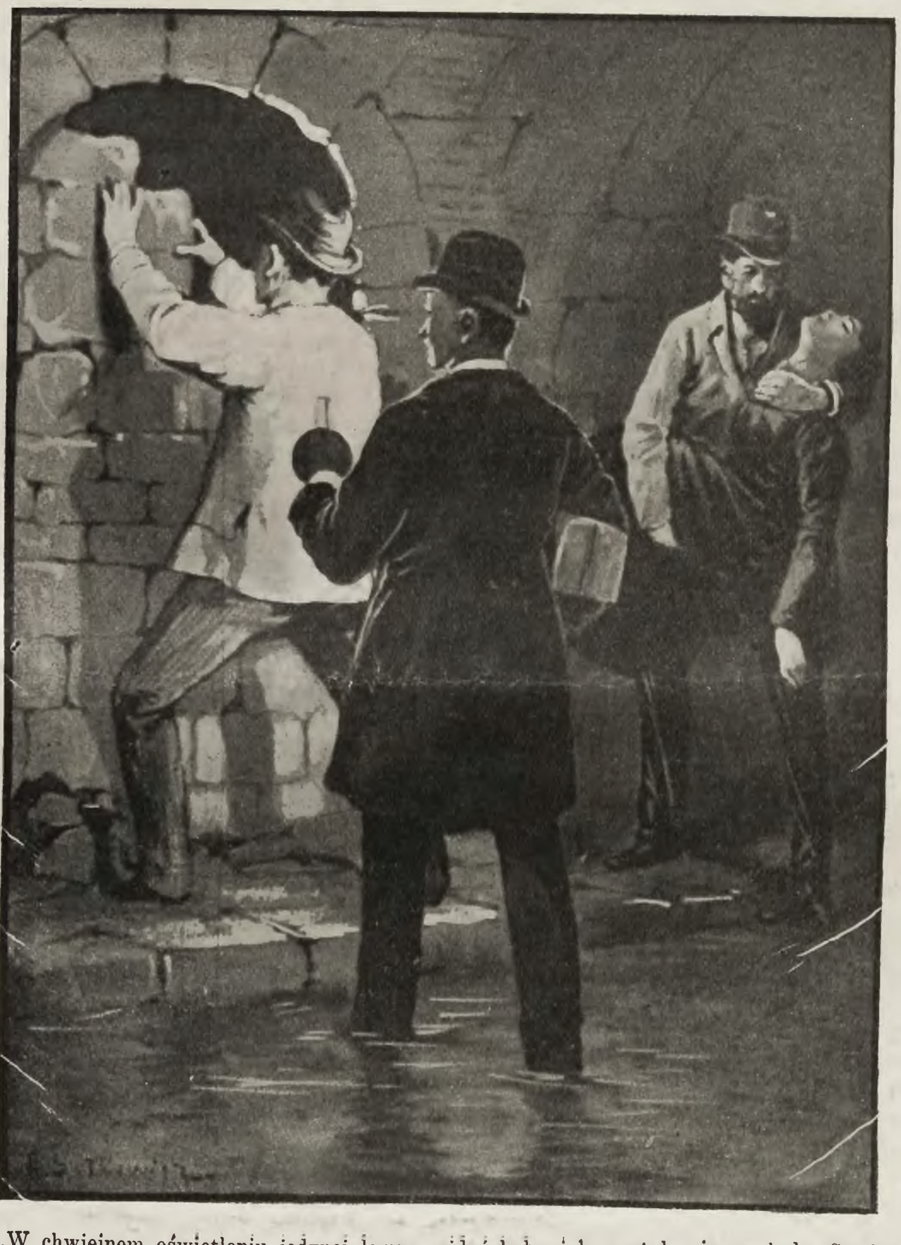
* * *

Zegarek wskazywał dziesiątą godzinę, a że nie mógł się zabrać do żadnej roboty, poszedł do Heleny, aby zabić wieczór.

Zastał u niej Walczaka, na widok którego zaśmiał się szczerze. Blond włosy zmienił na ciemne, broda była starannie zgolona, a wąsiki ciemne w górę bardzo modnie podkręcone. Miał też na sobie ładny tużurkowy garnitur z jasną kamizelką.

— Wyglądam jak małpa — mówił z odcieniem niezadowolenia — ale musiałem uledz Helenie, wymalowała mnie, wystroiła, wyelegantowała... ale niech będzie, jej spokój wart przecież tej komedyi.

— Dziękuję ci, Stachu — uśmiechnęła się przyjaźnie — i wam radzę Bolku zmienić się, bo mogą odkryć Jana Pastę.



....W chwiejnem oświetleniu jedynej lampy widać było, jak prężyły się muskuły Stacha. Nareszcie wyrwał dwie cegły. Górne poszły łatwiej i otwór o tyle o ile był gotów. — Właź Stachu, podam ci Olgę.

— Nie taki dyabeł straszny, tyle razy wisiałem na włosku, i nie urwał się ze mną; lekki jestem — zaśmiał się.

— Czy idziesz na manifestacyę? — spytał Stach.

— Naturalnie.

— Nie radzę ci... Tam łatwo poznają cię przeróżni szpiedzy.

— Mylisz się... na tę manifestacyę zbyt już głośną, nie poślą szpiegów, lecz wojsko i policyę... Czy byliście, Heleno, u Olgi?

— Byłam... leży w łóżku, nie czuje się zdrową, ma gorączkę i ból głowy.

— Byle nie odchorowała tych przejść — westchnął — bo i po co kobietom słabym brać się do takich niebezpiecznych rzeczy.

— Sami ją wprowadziliście, sami uczyli — zaśmiała się Helena — a teraz wyrzekacie na kobiety.

— Uparła się... prosiła... zapewniała... no i uległem.

— Tak samo jak ja z tem przebraniem — zaśmiał się Stach.

— Bądźcie, Heleno, jutro u Olgi... i powiedzcie że bardzo ją proszę, aby wypoczęła i nie wychodziła, póki zdrowa nie będzie... bo co w partyi po chorych?

— Dobrze Bolku, powtórzę jej wasze słowa, zwłaszcza ostatnie. Ucieszy się, że dbacie o nią, jedynie ze względów partyjnych; to się nazywa miłość ideowa, nieosobista, bezstronna — uśmiechała się.

— Wszystko mi jedno, byle zdrowa była — odpowiedział zaczerwieniony.

— I nic więcej nie mam jej od was powiedzieć? — spytała żartobliwie.

— Nie jesteście dobrym telefonem, bo macie mózg i pamięć — zaśmiał się.

— I o tem jej powiem... a przedewszystkiem o waszej bezczelnej lekkomyślności. Taki zbrodniarz z „Wolności“, prześladowany, śledzony, poszukiwany, chodzi sobie po ulicy, z wizytami, a może pójdziecie odwiedzić Bolcewa?

— Nie mówcież o tem Oldze... jutro się przebiorę... po co ją niepokoić?

— Przyrzekacie?... Tu, przy Stachu?

— Przyrzekam.

Jeszcze chwilę pogawędzili i Bolek żegnał ich, by iść do domu.

— A ty, Stachu, zostajesz?

— Tak jest — pośpieszyła Helena — jutro dostanie paszport z partyi, i to jako żonaty... zamieszkamy razem! — uśmiechnęła się tryumfująco.

— Zdaje się, że wy jedna Heleno, skorzystaliście z wykrycia drukarni — zaśmiał się.

— Czy sądzicie, że Stach na tem stracił?

— Brodę, blond włosy i znoszone ubranie; jak na prześladowanego socyalistę chyba wystarczy.

— Wy zawsze ze żartami.

— A wy z pretensyami i żalami.

— Znów zaczynacie...

— Kończę, bo idę... Niechże was ma w opiece Ceres owocopłodna!

— Idźcie już.... dobrej nocy!

W najbliższą niedzielę miała się odbyć manifestacya na placu Grzybowskim, i to w chwili, gdy pobożni mieli wychodzić z obszernego kościoła Wszystkich Świętych.

Część robotników, stosownie do polecenia komitetu wykonawczego, znalazła się wśród pobożnych w kościele, druga część z ukrytym na razie czerwonym sztandarem stała pozornie rozprószona na placu przed kościołem, a trzecia część robotników miała w danym momencie zjawić się na ulicy Twardej i z rozwiniętym sztandarem złączyć się z innymi na placu Grzybowskim.

Żandarmerya i policya była przez szpiegów poinformowana, że manifestacya odbędzie się na placu Grzybowskim, nie wiedziała jednak, gdzie zejdą się manifestanci i którą ulicą pójdą. Obsadzono podwórza kamienic przytykających do placu, a więc na ulicach: Bagno, Królewskiej i Granicznej, wojskiem pieszem, a na ulicy Twardej, zamieszkałej przeważnie przez żydów, chodziły gęste patrole to policyjne, to żandarmskie, docierając z jednej strony do Świętokrzyskiej, z drugiej do Żelaznej Bramy.

Wśród robotników znaleźli się wszyscy członkowie komitetu wykonawczego, a Żaleckiemu powierzono część robotników z ulicy Twardej.

Z wyższych urzędników policyi, prócz dwóch komisarzy cyrkułowych w otoczeniu rewirowych, był zastępca oberpolicmajstra, rozmawiający spokojnie z dwoma oficerami, komenderującymi wojskiem, przeznaczonem do uspokojenia tłumów.

Żandarmami zaś rozporządzał Bolcew, na razie niewidzialny.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wojna bez wojsk.

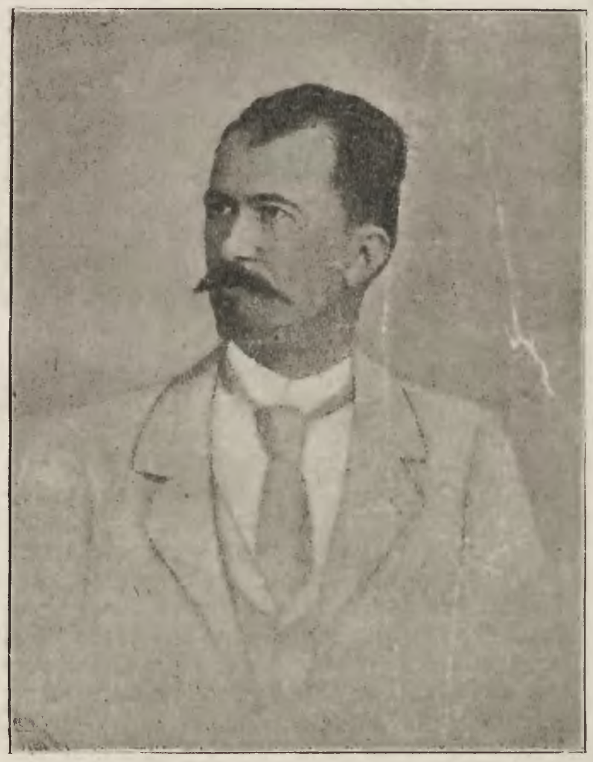
Staje się rzeczą coraz prawdopodobniejszą, że tocząca się od kilku tygodni bezkrwawa wprawdzie, lecz nie mniej zawzięta wojna handlowo-cłowa między Austryą a Serbią, skończy się rychło i to skończy się porażką rządu serbskiego. Zapał,



Wojna bez wojsk: Dr. Milan Markowic, serbski minister finansów, odgrywający ważną rolę w ruchu antyaustryackim w Serbii.

z jakim porwano się do tej walki w Serbii, zaczyna ustępować miejsca trwodze przed ciężką klęską ekonomiczną. Nadzieje, że powiedzie się dla wywozu bydła i nierogacizny serbskiej otworzyć inną drogę i inne pola zbytu, zawiodły. Austryi zatem udało się przecież odnieść zwycięstwo. Bez wojsk pobiła Serbię, jedyne zresztą państewko, wobec którego, słaba w stosunku do innych, zdołała wystąpić z energią i okazać swą siłę. Małe i biedne państewko od dziesiątek lat pozostające w niewoli ekonomicznej swego potężnego sąsiada, stanowiło dla niego ciągły przedmiot wyzysku. Serbia opłaca bankierom wiedeńskim lichwiarskie procenta, a kupcy wiedeńscy zarzucają ją tandetą od szpilek i mydełek aż do fortepianów i maszyn parowych. Nie dziw więc, że się to Serbii nie podoba i że się często w Belgradzie próbują wyzwolić z tej zależności. Usiłowania te pełzły dotąd zawsze na niczem. Ostatnią próbę emancypacyi powziął gabinet Pasicza, który chciał utworzyć unję cłową z Bułgaryą. Tymczasem Pasicz upadł, a jego następca Stojanowicz zrealizował projekt w sposób niezręczny. Serbia zawarła teraz z Bułgaryą traktat, który nie jest ani traktatem handlowym, ani unją cłową. Nie jest traktatem, bo w myśl inicyatorów wyklucza od korzyści mocarstwa, które zastrzegły sobie największą faworyzacyę swego importu, a nie jest także unią celną, bo każde z obu państw zachowało odrębną taryfę i odrębne ustawodawstwo. Wybitni Serbowie coraz głośniej objawiają obawy, że stan obecny nie da się długo utrzymać. A pobratymcy ich bułgarscy ani słyszeć nie chcą o zaniechaniu już zawartej unii. I może dojść do tego, że sprawa, która miała zbliżyć dwa bratnie narody i pod względem politycznym, gotowa jeszcze je poróżnić. Już od dawna krążyły pogłoski, że opór Serbii przeciw Austro Węgrom podniecają pośrednio Niemcy. W ostatnim czasie kilka poważnych dzienników potwierdza te nieprawdopodobne wieści.

Podajemy dziś Czytelnikom aktualne w tej chwili podobizny, dwóch wybitnych mężów stanu w Serbii, najbardziej zaangażowanych w sprawie wojny cłowej z Austryą, prezydenta gabinetu Stojanowica i ministra finansów Markowica.

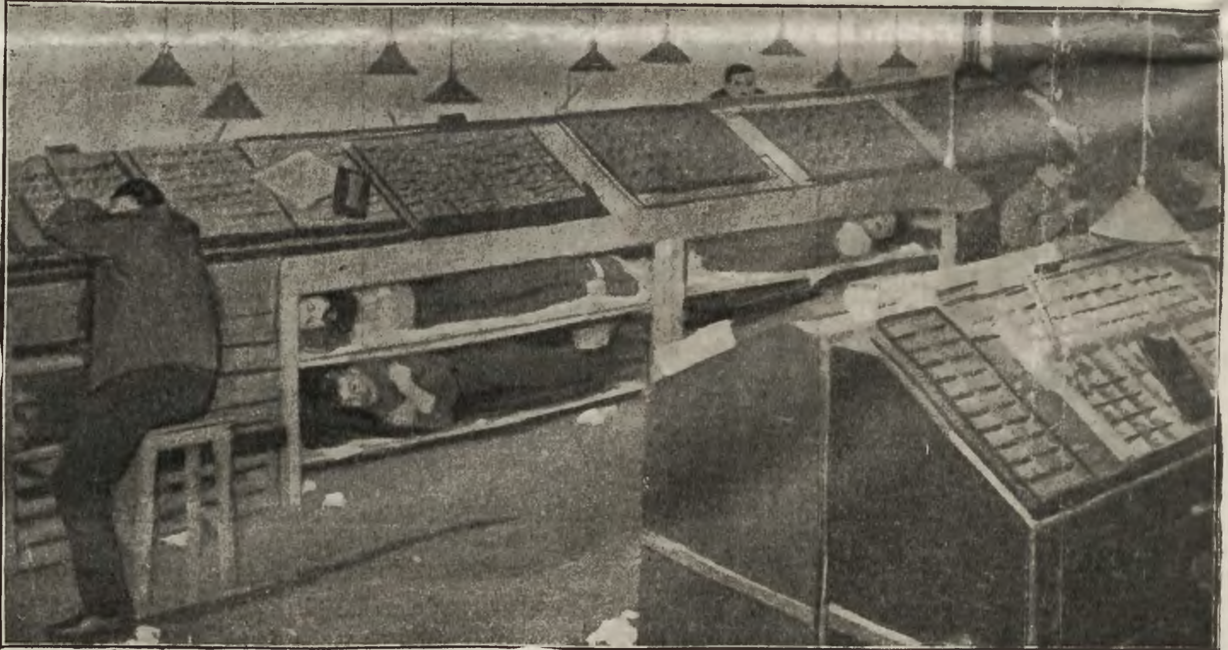


Wojna bez wojsk: Ljuba Stojancwicz, prezydent ministrów w Serbii, przywódca najbardziej w wojnie cłowej z Austryą zaangażowanej partyi młodoradykałów serbskich.

Podczas stanu oblężenia.

Na długo pamiętne zostaną straszne dni ostatniej rewolucyi w Moskwie. Do tej chwili jeszcze naoczni świadkowie pełnych grozy wypadków nadsyłają do gazet wstrząsające opisy, w których coraz to nowy szczegół wychodzi na jaw, a fotografowie publikują zdjęcia scen zajmujących, jakich widownią była niedawno Moskwa.

Trzy nasze ryciny, jakie dziś obok podajemy Czytelnikom, przedstawiają noc w redakcyi jednego z wielkich dzienników rosyjskich w czasach stanu oblężenia w Moskwie. Wiadomo bowiem, że według przepisów ciężkiego stanu wojenego w mieście, wydaje generał-gubernator rozkaz, zabraniający publiczności chodzenia po ulicach po godzinie 10 wieczorem. Lekceważyć sobie takie rozporządzenia, to znaczy narażać się na kary najcięższe, ba, to znaczy ryzykować życie, gdyż każdej chwili, znalazwszy się na ulicy wśród nocy, można zginąć od kuli, skoro patrole, krążące wtedy po pustych placach i ciemnych zaułkach, nie pytają — kto i poco — tylko strzelają zaraz. A było tak właśnie w Moskwie w czasie niedawnego stanu oblężenia. Cóż mieli zatem robić ludzie, którym zawód kazał powracać do domu dopiero około północy, lub śpieszyć do pracy około 2, 3 nad ranem. W dziennikach np. gdzie w redakcyi, w drukarni i w ekspedycyi muszą być ludzie zajęci od świtu, lub kończyć pracę aż późno w nocy — cóż począć, gdy w takich porach ulicami chodzić nie wolno i niebezpiecznie. Poradzono więc sobie — jak widzimy na naszych illustracyach — w sposób najprostszy. Redaktor naczelny, zamiast do domu powracać, zagłębiał się w swoim fotelu tuż przy telefonie i drzemał snem myszy na pudle, gdy członkowie jego redakcyi porozkładali się w drugim pokoju to na kanapie, to znów na własnych biurkach, przy których co dopiero pisać przestali i do których z powrotem zasiądą za chwilę, na odgłos dzwonka alarmującego, że stało się coś niesłychanie ważnego, Ale najtwardszym snem spali, nieopodal redakcyi, w salach drukarskich, zecerzy pod



(W sali zecerów w drukarni).
Podczas stanu oblężenia: Noc w redakcyi dziennika w Moskwie w czasie stanu oblężenia.



(W sali członków redakcyi).
Podczas stanu oblężenia: Noc w redakcyi dziennika w Moskwie w czasie stanu oblężenia.



(W gabinecie naczelnego redaktora)
Podczas stanu oblężenia: Noc w redakcyi dziennika w Moskwie w czasie stanu oblężenia.

swoimi kasztami, co — jak widzimy na trzeciej rycinie — sprawia wrażenie noclegu na okręcie, lub łóżek w szafach, jakich używają stale w swych domach chłopi w starych wsiach francuskiej Bretanii.



Chorzy monarchowie: 67-letni król rumuński, Karol I., którego zły stan zdrowia budzi poważne obawy.

Chorzy monarchowie.

Przed tygodniem zupełnie niespodziewanie zjawiły się w oknach wystaw sklepowych na ulicach Kopenhagi, obok portretów żałobnych zmarłego króla duńskiego, także obrazy, przedstawiające jego dostojnego zięcia, Edwarda VII., również jak tamte, krepą owinięte. Rozeszła się bowiem nagła pogłoska o śmierci króla Anglii i cesarza Indyi, o którym wiadomo, że jest od dawna chory i już niejednokrotnie zachodziła obawa, czy uda się lekarzom przedłużyć jego życie. Podobno i teraz groziła mu znów katastrofa, a niedyskrecya jednego z przybocznych doktorów wywołała mylne na razie pogłoski, uzasadnione jednak, gdy się zauważy, że monarcha dziedzicznie chory, liczy już lat 65 mimo, że dopiero od pięciu — po swej długowiecznej matce — zasiada na tronie. Dziś na gwałt dzienniki rządowe ślą w świat z Londynu uspokajające wiadomości, że królowi nie grozi w tej chwili niebezpieczeństwo, że zdrowie jego jest nawet względnie zadowalające i że wkrótce wybiera się w podróż kilkotygodniową po morzu Śródziemnem dla kuracyi. Nie pojedzie jednak Edward VII. do Kopenhagi na pogrzeb swego teścia, a niektóre dzienniki dobrze poinformowane tłómaczą to nie złym stanem zdrowia królewskiego, lecz tą okolicznością, że monarcha angielski nie pojedzie do Danii tylko dlatego, żeby się przy trumnie Chrystyana IX. nie spotkać z... cesarzem Wilhelmem II.



Chorzy monarchowie: 65-letni król angielski i cesarz indyjski, Edward VII, o którego chorobie krążą teraz w dziennikach niepokojące wieści.

W tym samym czasie, co o Edwardzie VII., pojawiły się w Europie nagle wieści niepokojące o chorobie drugiego, również sędziwego już monarchy. Mianowicie podupadł mocno w ostatnich czasach na zdrowiu król rumuński, Karol I. Cierpi on oddawna na żołądek i wątrobę, więc corocznie wyjeżdżał do kąpiel. Niedawno zaś wystąpiły u niego silne bole artretyczne, oraz influenza; ponieważ nadto król cierpi i na zwapnienie arteryi, więc lekarze wyprawiają go teraz na resztę zimy do miejscowości o łagodniejszym klimacie. Mimo pomyślnie brzmiących biuletynów urzędowych o stanie króla, osoby z jego najbliższego otoczenia na dworze są niezmiernie zaniepokojone i nie tają wcale, że u króla widocznym już jest tej zimy znaczny upadek sił. Liczy on już 67 lat, a panuje w Rumunii od r. 1866, zrazu jako książę, a od r. 1881 nosi koronę królewską. Wiadomo, że pochodzi on z niemieckiej rodziny Hohenzollernów, a ożeniony jest od 37 lat z księżniczką Wied, królową Elżbietą, sławną poetką pod imieniem Carmen Sylwa.

Sądzimy, że nasi Czytelnicy z zadowoleniem spojrzą na załączone portrety obu monarchów, o których chorobie często teraz spotykają w dziennikach różne wzmianki.



Pod groźbą kul rewolwerowych: Na dworcu w Odesie, terroryści nie pozwalają służbie kolejowej — pod groźbą kul rewolwerowych — wypuścić pociągu w dalszą drogę.



Antoni Jonakowski, naczelny dyrektor Towarzystwa tkaczy w Korczynie.

Pod groźbą kul rewolwerowych.

Przerażające sceny aktów terroru nie znikają po dziś dzień z kroniki wypadków ruchu rewolucyjnego na obszarach państwa rosyjskiego. Ustały jedynie w ostatnim czasie strejki kolejowe, skutkiem których ruch wielki zamierał na całe tygodnie to w tej, to w owej prowincyi, choćby najbardziej handlowej lub przemysłowej.

Jako jeszcze jedno echo owych pamiętnych wypadków zamieszczamy dziś na poprzedniej stronie illustracyę, dosadnie malującą scenę terroru, jakiemu ulegali kolejarze rosyjscy.

* * *

Rycina nasza przedstawia peron dworca kolejowego w Odesie z przed niedawnego czasu. Zajechał właśnie pociąg kuryerski, który za chwilę ma ruszyć w dalszą drogę, zabrawszy podróżnych, uciekających w popłochu za granicę w obawie jeszcze groźniejszych wypadków. Wtem na peronie zjawia się kilku rewolucyonistów. Jakiś student podchodzi do jednego z kolejarzy i mierząc z rewolweru, grozi śmiercią na wypadek, gdyby obsługa pociągu nie poddała się rozkazom terrorystów i chciała prowadzić pociąg dalej. Na ten widok srodze zawiedzeni podróżni opuszczają co dopiero zajęte przedziały wagonów... Ileż to takich scen przeżyli w ubiegłych miesiącach mieszkańcy Rosyi.

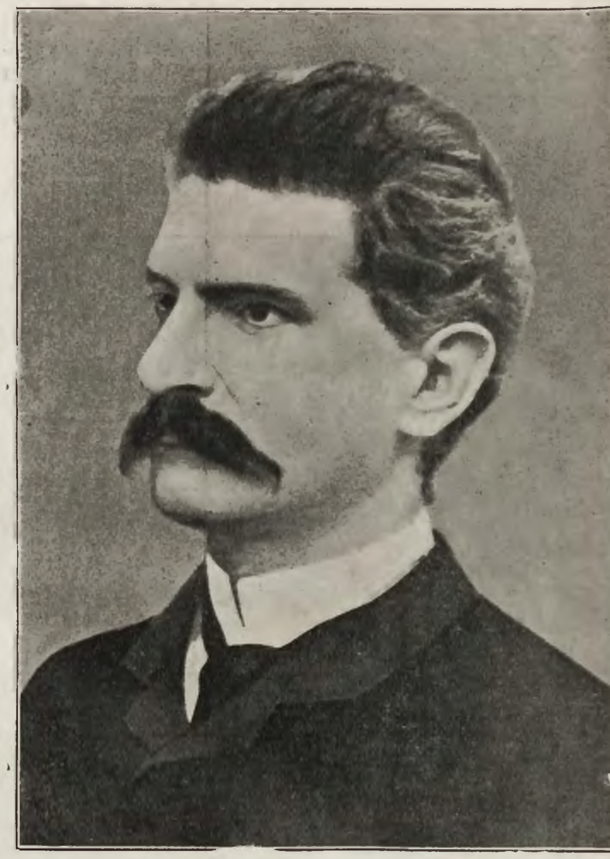
Antoni Jonakowski,

naczelny dyrektor Towarzystwa tkaczy w Korczynie.

Któż w kołach zajmujących się tkactwem krajowem nie zna dyrektora Towarzystwa tkaczy pod wezwaniem św. Sylwestra w Korczynie, p. Antoniego Jonakowskiego (którego podobiznę obok załączamy). Jemu to w przeważnej części zawdzięcza Towarzystwo rozwój i zbyt, jakim się dzisiaj cieszy i pierwszorzędne stanowisko w przemyśle tkackim. Sympatyczny, uprzejmy, nadzwyczaj energiczny i prędko oryentujący się w sytuacyi, oto przymioty, które zjednały mu serca wszystkich a tak licznych odbiorców. Dziś niema prawie większej instytucyi, tak rządowej, jak krajowej, gdzieby Towarzystwo tkaczy w Korczynie nie było dostawcą, a osoba dyr. Jonakowskiego nie znaną. Przy każdej sposobności staje on z ofertą do walki konkurencyjnej z obcokrajowemi firmami i dzięki swej zapobiegliwości, wychodzi zawsze zwycięscą. A urządzenie w roku 1905 we Lwowie w gmachu przemysłowym tak okazałej wystawy wprawiło swemi wyrobami w podziw licznie zwiedzającą publiczność — i świadczy nietylko o nadzwyczajnym sprycie i energii dyr. Jonakowskiego, ale udowadnia, że pracą i pilnością wiele u nas można zdziałać w przemyśle. Dzięki też zapobiegliwości dyr. Jonakowskiego, Korczyna dziś zamienioną została w jedną wielką fabrykę tkacką, a ogromny zbyt towaru daje egzystencyę setkom rodzin.

Zmiana rządu we Włoszech.

Właśnie w czasach, gdy Europa baczną zwraca uwagę na Włochy, które świeżo zrobiły Czarnogórze sensacyjny prezent z 48 armat i 50 tysięcy naboi karabinowych, a w ogóle prowadzą jakąś tajemniczą politykę z dworami bałkańskimi — zaszła ważna zmiana kursu w rządach rzymskich. Drugi gabinet Fortisa (którego portret daliśmy w swoim czasie) powstał jedynie po to, aby podać się do dymisyi. Obalił go jeden wybuch śmiechu w chwili przedstawiania się ministrów parlamentowi. Złożono więc zaraz teki w ręce króla, który teraz powołał nowego męża opatrznościowego. Oto jego podobizna. Następca Fortisa na stanowisku prezydenta ministrów, nazywa się Sidney-Sonnino. Udało mu się złożyć gabinet z ludzi, należących do najróżnorodniejszych stronnictw. Obok konserwatysty Salandry (finanse) i członka centrum hr. Giucciardiniego (sprawy zagraniczne) zasiedli liberałowie Boselli (oświata), Carmine (roboty publiczne), Luzzatti (skarb) i Baccelli (poczty); dalej



Zmiana rządu we Włoszech: Nowy prezydent ministrów włoskich, Sidney-Sonnino.

namiętny zwolennik zupełnego rozdziału Kościoła od państwa, wyrzucenia e szkół wykładów religii i swobody rozwodów małżeńskich, radykał Sacchi (sprawiedliwość); wreszcie republikanin Pantano (rolnictwo). Nie dość tego. Kiedy bowiem Salandra i Giucciardini, oba zwolennicy ceł zbożowych, wraz z nowymi ministrami wojny i marynarki, D'Intignaną i Mirabellą, pragną utrzymać armię na wysokości odpowiadającej potrzebom mocarstwa, przeciwnie — za zredukowaniem wojska i wydatków na nie oraz za zniesieniem ceł zbożowych są **Sacchi, Pantano i Boselli.**

Jakże więc — pytają politycy — potrafi Sonnino pogodzić takich ludzi. Jedni twierdzą, że to **niemożliwe poprostu, inni jednak wierzą,** że wszystkich ministrów w nowym gabinecie przygniotą swą wybitną indywidualnością Sonnino i Luzzatti. Ten ostatni — ekonomista europejskiej sławy — dzierży jedną z najważniejszych tek, mianowicie jest ministrem skarbu, ma więc stwarzać dochody i otwierać ich źródła, (gdy minister finansów zbiera tylko podatki i układa budżet). Jeszcze ważniejszą tekę ministra spraw wewnętrznych wziął sobie obok prezydyum sam Sonnino, który znajdzie nieubłaganych wrogów w zwolennikach socyalizmu; trzeba bowiem wiedzieć, że nikt tak stanowczo nie osądza doktryny socyalizmu, jak właśnie nowy premier włoski, który głosi w swych pismach, że „socyalizm jest barbarzyństwem“. Nieraz tedy — o ile się utrzyma dłużej, będzie miał Sonnino ciężki orzech do zgryzienia w walce z socyalistami, ale mimo to człowiek ten może zrobić łatwo karyerę, dzięki wielkiemu rozumowi, świetnej wymowie, stosunkom z garibaldzistami i z lożą masońską, które odziedziczył po swym przyjacielu Crispim; dalej jako przyjaciel br. Franchettiego, kuzyna Rotszyldów, rozporządzający wpływami wielkich kapitalistów a zarazem związkami sycylijskimi. A na zakończenie dodać warto, że Sonnino, podobnie jak Luzzatti, wyszli obaj z ghetta żydowskiego. Dziadek Sonnina, ubogi, w zupełnej nędzy żyjący żyd z Liworna, wyemigrował do Egiptu i tam dorobił się majątku. Już syn jego, a ojciec ministra, powróciwszy do kraju, kupił wielkie dobra i przeszedłszy na protestantyzm, ożenił się z Angielką, panną Sidney, połączył nazwisko żony ze swojem, zyskał tytuł barona i stał się wpływowym szlachcicem toskańskim. Dlatego nowy premier włoski nazywa się baron Sidney-Sonnino.

Proces o pożary borysławskie.

Pamiętnym jest w całym kraju wielki, przez szereg tygodni trwający, strejk robotników kopalń nafty i wosku ziemnego w Borysławiu, w lecie 1904 r., który zakończył się kapitulacyą robotników, ale i właścicielom kopalń poważne przyniósł straty. Po jego zakończeniu, wydarzył się w Borysławiu cały szereg pożarów na kopalniach, podług zaś ogólnej opinii pożary te wzniecała ręka zbrod-



Fot. dla „Nowości“. M. Münz. Lwów.

Proces o pożary borysławskie: Sala rozpraw sądu kraj. we Lwowie podczas obecnego procesu o rozgłośne pożary w Borysławiu.



W trwodze wojennej: Reprezentanci dyplomatyczni wszystkich państw, zebrani przy stole obrad na konferencyi marokkańskiej w Algesiras, od której wyniku zawisły w tej chwili losy pokoju lub wojny w Europie.

nicza. Po długiem poszukiwaniu sprawców aresztowano wreszcie kilku robotników, członków komitetu strejkowego, jako podejrzanych o podpalania. Na wiosnę 1905 r. odbyła się pierwsza rozprawa przed przysięgłymi w Samborze. Do wyroku jednak nie przyszło i całą sprawę odesłano jeszcze raz do sędziego śledczego. Następnie odbył się we wrześniu z. r. drugi proces przed ławą przysięgłych w Stryju, a zakończył się werdyktem i wyrokiem uwalniającym. Z powodu zażalenia nieważności zaś, wniesionego przez prokuratora, trybunał kasacyjny zniósł wyrok stryjski i polecił sprawę przeprowadzić raz jeszcze w sądzie krajowym we Lwowie.

Obecnie zasiadło tam przed sądem pięcioro oskarżonych, czterech mężczyzn: Roman Chomycz, Kazimierz Kandefer, Antoni Górny i Stanisław Szeligowski, oraz jedna kobieta: Katarzyna Szczepaniakówna. Proces ten, rozpisany na 10—12 dni, budzi ogromne zainteresowanie we Lwowie, tak, że sala rozpraw codzień wypełniona bywa do ostatniego miejsca. Najbardziej zajmującym będzie koniec procesu, kiedy ścierać się będą w końcowych wywodach: dr. Zagórski, młody ale bardzo zdolny, cięty i wymowny prokurator, oraz znani obrońcy karni, dr. Liebermann z Przemyśla i dr. Marek z Krakowa.

* * *

Rycina nasza — obok zamieszczona — przedstawia właśnie salę sądu we Lwowie podczas toczącej się w niej obecnie rozprawy o pożary borysławskie, w chwili przesłuchania osk. Kandefera; na ławce siedzi osk. Chomycz. W środku przewodniczący trybunału prezyd. Przyłuski, obok po prawej stronie wotant radca Jasiński, po lewej radca Promiński; obok tego na lewo prok. dr. Zagórski, a za nim obrońcy dr. Lieberman i dr. Marek.

W trwodze wojennej.

Od tygodnia ogarnia Europę trwoga wojenna. Już nie na sensacyę obliczone pisemka brukowe, ale najpoważniejsze dzienniki polityczne rozważają na zimno bliską możliwość wojny między Francyą a Niemcami. Nie mylili się tedy liczni pessymiści, wróżąc zupełne niepowodzenie konferencyi marokkańskiej jeszcze z chwilą, gdy ona dopiero miała się zebrać w Algesiras. Znana z telegramów w dziennikach urzędowa nota francuska dowodzi, do jakiego natężenia doszły stosunki Francyi i Niemiec. Nota ta udowadniała w formie wyjątkowo dobitnej, że Niemcy dążą albo do rozbicia konferencyi, albo do zupełnego upokorzenia Francyi. Takie stanowisko Niemiec może prowadzić tylko do wojny i zdaje się, że taki też jest cel niemieckiej dyplomacyi. Nota świadczy, że Francya nawet pod obecnym rządem nie jest skłonną do bezwarunkowej kapitulacyi wobec niemieckich uroszczeń, jeżeli zatem Niemcy nie cofną się w ostatniej chwili, staniemy niebawem wobec konfliktu najgroźniejszego, jaki Europa przeżywała od roku 1870. Ton urzędowej noty francuskiej wzbudził naturalnie w prasie światowej wielkie obawy wojenne, mimo, że starały się im starannie przeciwdziałać dziennki stojące w usługach dyplomacyi niemieckiej, które uroczyście zapewniają, że nawet zupełne rozbicie się konferencyi w Algesiras nie doprowadzi do wojny, jeżeli tylko dalsze postępowanie Francyi, nie będzie prowokowało polityki niemieckiej. Szczególny niepokój panuje w Belgii, interesującej się w pierwszym rzędzie możliwością nowej wojny francusko-niemieckiej. Prasa belgijska notuje już alarmujące pogłoski o przygotowaniach na wypadek wojny, ponieważ istnieje obawa, że wojska niemieckie pójdą dla obejścia pogranicznych fortec francuskich przez terytorium belgijskie. Illustrowane pisma francuskie i belgijskie podają już plany wojskowe z pogranicza i wykazują, jakie ewentualne korzyści mieliby Niemcy, idąc przez Belgię. Brukselski organ rządu belgijskiego pisał z tej przyczyny w taki sposób: „Gdyby istotnie przyszło do wojny między Niemcami a Francyą, to Niemcy wiedzą, że Belgia posiada doskonale zorganizowane i bitne wojsko, gotowe spełnić swój obowiązek i bronić nietykalności granic, zagwarantowanej przez mocarstwa“.

Lada dzień dowiemy się, jak się skończy rozgłośna w tej chwili konferencya marokkańska, która wzniecila w świecie trwogę wojenną. A dopóki toczą się w Algesiras układy w sprawie Marokka, decydujące zarazem o pokoju lub wojnie w Europie, podajemy Czytelnikom obok fotografię, przedstawiającą zebranych przy stole konferencyjnym reprezentantów wszystkich państw, na których zwracają się teraz oczy świata cywilizowanego.

Krwawa gospodarka baronów niemieckich.

W historyi polskiej znani są Sieversowie. Wiadomo, że w r. 1793 ambasador rosyjski Jakób von Sievers zatoczyć kazał pod okna sali sejmowej w Grodnie armaty i podyktował traktat rozbiorowy.

Dziś uśmierzają niemieccy baroni Sieversowie powstanie Łotyszów w rosyjskich prowincyach nadbałtyckich. Jak zaś postępują, o tem czytamy codzień od szeregu tygodni w pismach rosyjskich, z których do dzienników zagranicznych przedostają się coraz to nowe szczegóły o okrucieństwach Niemców, korzystających z okazyi, by wywrzeć swą zemstę na Łotyszach i Estończykach. Dziś wojska nigdzie po wsiach nie natrafiają na jakikolwiek opór, mimo to dowodzący oficerowie, zawsze sami Niemcy, (wśród których najczęściej obok nazwisk jak Stein, Kotzebue, Kietinghof, Engelhardt, Erzdorf Kupfer, Raaden, Drachenfels itp. spotyka się różnych baronów von Sieversów), nie znajdując rzeczywistych sprawców, wiążą i rozstrzeliwują tych z miejscowej ludności, których im wskażą obywatele niemieccy z sąsiedztwa, a więc takich przedewszystkiem, którzy przemawiali na zebraniach, jakie po ukazie konstytucyjnym odbywały się w całym kraju, a dalej obwinionych o kłusownictwo w lasach barońskich, lub mających osobiste spory z baronami. Uwięzieni zostają natychmiast bez śledztwa i bez sądu, na prawie wojennem, rozstrzelani, a rzadko tylko w drodze łaski dostają po 200 nahajów. Osady podejrzanych o udział w rewolucyi, wojsko niszczy ogniem. To też w krajach nadbałtyckich obrócono w perzynę setki wsi. Spojrzcie na tę rycinę, wierna to fotografia. Oto wszystko, co z całej, dużej osady ludzkiej zostało w okolicy, przez którą po uspokojeniu się Łotyszów, przeszedł jeden z baronów von Sieversów. Rozstrzelano w tej wiosce w ciągu jednego dnia 53 ludzi, których powyciągano z ich własnych domów nocą, na parę godzin przed straceniem, śpiących spokojnie w swych łóżkach. Kilkanaście kobiet na widok tych okrucieństw dostało pomieszania zmysłów; kilkanaście osób popełniło samobójstwo na gruzach i zgliszczach dymiących własnych chat, spalonych przez oddział egzekucyjny. Z dużej, ludnej wsi zostało dziś tych kilka domków, na rycinie widocznych i około 30 osób przy życiu i o zdrowych zmysłach.



Krwawa gospodarka baronów niemieckich: Co pozostało z dużej i ludnej wsi łotewskiej w prowincyi nadbałtyckiej po przejściu oddziału barona von Sieversa, niszczącego ogniem i mieczem osady rewolucyonistów.

J. HAWTHORNE.

Tragiczna tajemnica.

Z upoważnienia autora z angielskiego przełożył J. R.

11 (Ciąg dalszy).

— A więc musimy ptaszka szukać gdzieindziej — ozwał się inspektor, który, słysząc tyle pochwał o zaletach Johnsona, nabrał przekonania, że z nim już sprawa skończona i że się nim dłużej zajmować nie warto. — Na razie chciał się jeno w jakiś chytry sposób dowiedzieć, czy pułkownik Desmond rzeczywiście sam, we własnej osobie, nie wiadomo zresztą z jakich powodów, zastawił papierośnicę u Sibleya. Pułkownik siedział przy nim; płaszcz miał rozpięty; z kieszeni kamizelki zwieszał się piękny łańcuszek od zegarka. Tej okoliczności postanowił więc użyć jako punktu wyjścia.

— Najważniejszą, jak na teraz, rzeczą — ozwał się — jest wykrycie fałszerza kwitu. Jeżeli jego znajdziemy, wtedy i papierośnica się znajdzie, jeśli ona wogóle jeszcze istnieje. Na to potrzeba jednak czasu, a nie da się oznaczyć, jak długo to potrwa. Nie chcę pana dłużej zatrzymywać, już późno.

Mówiąc to, wyciągnął z kieszeni swój zegarek i przyłożył do ucha.

— Może pan wie dokładnie, która teraz godzina — zapytał — bo zdaje mi się, że mój zegarek się popsuł.

Pułkownik wyjął z pewną dumą swój zegarek z kieszeni. Właściciel takiego kosztownego przedmiotu mógł być snadnie dumnym z posiadania go. Nie tylko bowiem mechanizm zegarka był skonstruowany według najnowszych systemów, ale zewnętrzna strona przykuwała poprostu oczy swą wspaniałością i doborem kosztowności, ugrupowanych tam iście po mistrzowsku. Dyamenty, rubiny, szmaragdy, lśniły się jasnymi promieniami na obu pokrywach.

Inspektor poznał ten zegarek na pierwszy rzut oka. Był to ten sam, o którym Sibley tak długo i szeroko opowiadał Ślimakowi. Już Sibley zwrócił uwagę na to, że przecież pan, posiadający taki zegarek, nie potrzebuje zastawiać papierośnicy za marne pięć dolarów.

A więc to był sam pułkownik i on sam zastawił papierośnicę. Więc to on pojechał w nocy do Hanier'a, aby odeń tę papierośnicę wydostać. Więc kobieta, od której ją Hanier na kolendę otrzymał, była żoną pułkownika. Przedewszystkiem należało więc teraz zbadać, jakie stosunki łączyły Hanier'a z Desmondami. Bo że zamordowanie Hanier'a pozostawało z tem w związku, to już nie ulegało wątpliwości. Ślimak był więc mimo wszystko na właściwej drodze.

Dlaczego więc pułkownik przykładał taką wartość do tej papierośnicy i który z nieprzyjaciół tak zręcznie mu ją sprzątnął — odpowiedź na to miała dla inspektora podrzędne znaczenie. Tu chodziło głównie o stwierdzenie, czy podejrzenie o zamordowanie Bogu ducha winnego Hanier'a, miało paść na bogatego i poważanego pułkownika, czy też należało przypuścić, że on nie był może mordercą, ale pośrednim sprawcą jego śmierci.

O ile jednak należało się upewnić, czy pułkownik rzeczywiście zasługuje na śmierć z ręki kata, o tyle trzeba się było postarać, aby on nawet na chwilę nie przypuszczał, że nad jego głową cięży ręka sprawiedliwości. Jeżeli mu się bowiem zostawi zupełną wolność, to przecież tak czy owak, prędzej czy później, musi on wpaść w tę sieć, jaką nań zastawiono. Wtedy odkryje się jego wspólników, pozna się cel jego postępowania, przejrzy się wszystkie tajniki jego dawnego życia.

Kiedy pułkownik powstał, zabierając się do wyjścia, pozwolił sobie inspektor raz jeszcze zagrać na jego nerwach i to nie bez skutku.

— Zanim pan pójdzie — rzekł — chciałbym się jeszcze przekonać, czy wszystkie daty dobrze sobie zapamiętałem Nieprawda, mówiłeś pan, że papierośnica miała być zastawioną trzydziestego grudnia?

— Trzydziestego pierwszego, o ile wiem. Trzydziestego było w niedzielę.

— Racya! Racya! Wymieniłem „trzydziestego“ niechcący, a to z tej przyczyny, bo data ta przypomina mi jedno niemniej ważne zdarzenie.

— Tak?

— Bo, widzi pan, w nocy tego dnia zamordowano Ludwika Hanier'a. Musiał pan o tem słyszeć!

Pułkownikowi wypadła z ręki rękawiczka. Schylił się więc, aby ją podnieść.

— Tak, tak! Przypominam sobie — a to właśnie było jakoś w tym czasie. Znałem tego człowieka. Jednak za dużo panu czasu zajmuję. Moje uszanowanie!

— Ja się tam do pana zgłoszę — rzekł inspektor, otwierając drzwi — tymczasem — do widzenia!

W godzinę później przybył do gabinetu inspektora Ślimak i dowiedział się o całej rozmowie swego szefa z Johnsonem i pułkownikiem. Obydwaj poczęli się teraz naradzać, w jaki sposób mają się zabrać do wyświetlenia tej sprawy.

— Droga, którą pan obrałeś — rzekł inspektor — jest według mego zdania najwłaściwszą, ale do tej chwili nie mamy w ręku nic pewnego. Musimy się cofnąć nieco wstecz, do czasu, kiedy Hanier był u Desmond'ów w służbie; trzeba się będzie od służby pułkownikowstwa dowiedzieć, na jakiej stopie żył on ze swymi chlebodawcami. Zajęcie jego u pułkownika było przecież i przyjemne i lekkie, a jednak on je porzucił. A więc trzeba zbadać, czy on sam podziękował, czy też go odprawiono. Dalej potrzeba nam dokładnych wiadomości o trybie życia pułkownika, o jego przyzwyczajeniach i znajomościach. Nawet pańskie pierwsze przypuszczenie, że tu wchodzi w grę jakieś tajne stowarzyszenie, zaczyna obecnie nabierać cech prawdopodobieństwa. Pewne odkrycie, uczynione przezemnie na papierośnicy, pozwala nam nawet na pewne brać w rachubę i tajne stowarzyszenie.

— Ciekawy jestem, jakie, panie inspektorze — zawołał żywo Ślimak.

Inspektor wyjął papierośnicę z szuflady i otworzył ją.

— Patrz pan — rzekł — tu jest niewidoczna prawie sprężynka. Jeśli się ją pociśnie, o tak, to wyskakuje ta oto skrytka — ona jest próżna, ale prawdopodobnie musiało w niej coś być, na przykład skrawek papieru. Ten właśnie skrawek mógł mieć dla właściciela papierośnicy ogromne znaczenie. Przypuśćmy, że pułkownik ze względów bezpieczeństwa włożył go do skrytki. Miss Desmond, nie przypuszczając, aby mężowi jej zależało cokolwiek na takiej papierośnicy, podarowała ją Hanier'owi. Pułkownik spostrzega jej brak, robi awanturę, dowiaduje się prawdy i krytycznej nocy udaje się wraz z żoną do domu Hanier'a, aby papierośnicę wydostać. Otrzymuje ją — i tej samej nocy Hanier ginie, czy to z ręki pułkownika, czy jego wspólników, tego na razie nie wiemy. W poniedziałek Desmond papierośnicę zastawia...

— Ale, jak pan sądzi, zapytał Ślimak — czy w skrytce tej był papier, kiedy papierośnica poszła do zastawu.

— Nie wątpię — odparł inspektor.

— Więc dlaczegóż ją zastawiał?

— Właśnie z tej przyczyny.

— Nie rozumiem.

— Pułkownik chciał papierośnicę ulokować w takiem miejscu, gdzieby prócz niego nikt nie miał do niej przystępu. Lombard wydał mu się miejscem najbezpieczniejszem. Doświadczenie nauczyło go, że w domu, u siebie, nie może liczyć na zupełne bezpieczeństwo; w lombardzie zaś mogła jej poszukiwać jedynie policya, co zresztą należało do niemożliwości prawie. Bo przecież, jak pan wiesz, my sami wpadliśmy na jej ślad jedynie dzięki przypadkowi.

— Bardzo słusznie — zauważył Ślimak — jestem przekonany, że pan ma racyę.

— Taksamo przypadek mógł dopomódz nieznajomemu fałszerzowi. W jakiż sposób wiedział on właściwy numer kwitu? Może był razem z pułkownikiem w lombardzie. Mógł aż do lombardu iść za nim.

— Bardzo możliwe — mruknął Ślimak.

— Jeżeli równocześnie z nim był w lombardzie, to musi się znaleźć ślad tego. Idź pan do Sibleya i dowiedz się, jakie przedmioty zastawiono bezpośrednio przed i po zastawieniu papierośnicy. Zanotuj pan sobie adresy i nazwiska zastawiających i dowiedz się pan coś o nich. Jeden z nich musi być fałszerzem. Jeżeli jego złapiemy, to on nam udzieli trochę szczegółów o Desmondzie.

— Tylko, według wszelkiego prawdopodobieństwa — zauważył Ślimak — człowiek, którego szukamy, podał i fałszywe nazwisko i fałszywy adres.

— Możliwe, ale przecież może nam się uda wpaść na jego trop. Właściciel rewolweru z białą rękojeścią podał również nazwisko i adres fałszywie, a jednak wiemy, kto on jest i możemy go prędzej czy później ująć.

— Na wiele nam się to wtedy nie przyda.

— Tego powiedzieć nie można. Do tej chwili nie wiemy nic pewnego. Wprawdzie mamy podejrzenie na pułkownika Desmonda, ale możliwem jest, że okaże się ono fałszywe. Bo nawet, choć on mógł wiedzieć o morderstwie, to jednak twierdzić nie można, że on je popełnił. Może on miał jakich wspólników, a jeden z nich przywłaszczył sobie papierośnicę, aby tym sposobem mieć w swych rękach pułkownika, jako pośredniego sprawcę mordu. W każdym jednak razie ten wspólnik wiedział o tajemnej skrytce w papierośnicy i wyjął z niej jej zawartość.

Ślimak tarł ręce ze wzruszenia.

— Toby było interesujące! — powtarzał z uniesieniem. Sprawa ta, wikłająca się coraz bardziej, podniecała go ogromnie.

— Uderzył mnie jeden szczegół w zeznaniach Roberta Johnsona — rzekł inspektor po chwili milczenia — opis człowieka, który mu miał dać na balu papierośnicę, zgadza się prawie w zupełności z rysopisem mężczyzny, który 31 grudnia papierośnicę u Sibleya zastawił. W ogólności możnaby wedle tych sprawozdań uważać pułkownika Desmonda za tego, który był wonczas u Sibleya. Ale Johnson nie myślał z pewnością o pułkowniku, bo go zna dobrze i żyje z nim w zgodzie. Ostatecznie mogłoby wyjść na jaw, że pułkownik absolutnie sam papierośnicy nie zastawiał.

— Albo że Johnson łgał — ozwał się Ślimak.

— Jak dotychczas wszystkie jego zeznania się potwierdziły — odparł inspektor — ale zresztą zobaczymy.

Rozmowa trwała jeszcze z pół godziny, wreszcie Ślimak pożegnał się z inspektorem i wyszedł.

ROZDZIAŁ XV.

Męty nowojorskie.

Z zachodem słońca temperatura znacznie się oziębiła. Zanosiło się na silny mróz. Zamożniejszy Nowy Jork grzał się przy kominkach; arystokratyczny Nowy Jork olśniewał sale opery i teatrów; głodny Nowy Jork siedział przy piecach restauracyjnych nor; męty zaś i szumowiny nowojorskie rozbijały się wśród pijatyk i bijatyk w najrozmaitszych spelunkach. Były pewne okręgi, gdzie wszystkie te elementy ze sobą się skupiały. Im bardziej noc zapadała, tem niespokojniej było na oddalonych ulicach, na których mimo zimna i mrozu roiło się od podejrzanych postaci.

Niebo czyste lśniło się miliardem gwiazd, które niby oczy aniołów, migotały na firmamencie. Blask ich nikł jednak w porównaniu z elektrycznem światłem, które białą falą rozlewało się po ulicach.

W bramie jednego z przedmiejskich domów stał z cygarem w ustach jakiś człowiek, w głębokiem zatopiony zamyśleniu. Dla niego nie było w całym Nowym Jorku nic szczególnie ciekawego, bo nikt nie znał tak dobrze, jak on, mieszkańców Ameryki, ich nawykień, sposobu życia i nałogów. Niedaleko od niego chodził po ulicy tam i z powrotem jakiś wagabunda, rzucając oczyma na wszystkie strony. Był to znany już Czytelnikom z poprzedniego opowiadania Muggins.

Naraz zbliżył się Muggins do owego pana, stojącego w bramie, pociągnął go za rękaw i szepnął:

— Tam jest, panie inspektorze, tam jest ten człowiek, którego pan szuka, Mike Gloin!

Mówiąc to, wskazywał ręką człowieka, który właśnie przeciskał się przez tłum nocnych ptaków, wyrzuconych z pobliskich szynkowni.

Inspektor otrząsł się z zamyślenia i spojrzał we wskazanym kierunku.

Zobaczył młodego jeszcze chłopaka, na którego twarzy odbijało się zezwierzęcenie i rozbestwienie. Oblicze jego poorane było zmarszczkami i robiło bardzo niekorzystne wrażenie.

Idąc, rozglądał się śmiało naokół, tak, że można w nim było odrazu rozpoznać szczwanego rzezimieszka.

Inspektor rzucił kawałek niedopalonego cygara na ziemię i wyszedł na środek ulicy, postępując za Mikem Gloin. Kawałek od nich szedł Muggins.

Była godzina jedenasta. Wiatr wył przeraźliwie, mróz zwiększał się z każdą chwilą; Mike Gloin z rękoma w kieszeni szedł raźno, skręcił w boczną ulicę i wstąpił do szynku rozbrzmiewającego właśnie wrzawą i gwarem. Była to jedna z najgorszych nor, jakie wogóle są w Nowym Jorku, a towarzystwo, jakie się tam znajdowało, składało się wyłącznie z szumowin wielkomiejskich najgorszego gatunku.

Nowy przybysz był tam widocznie znaną i dobrze osobistością, bo przywitano go hucznie i wesoło. Mike Gloin zaś podszedł do szynkfasu, wypił parę szklanek wódki i począł kpić z tych, którzy

się do niego zanadto poufale zbliżali. Wogóle Mike był jakoby królem w tej bandzie. Wszyscy okazywali mu poddańcze uwielbienie i posłuszeństwo, z wyjątkiem młodej dziewczyny, siedzącej w większem towarzystwie, bardzo nawet przystojnej, ale na pierwszy rzut oka, jak widać, upadłej, która obserwowała go bardzo skrupulatnie, ale się nie odzywała ani słówkiem, chociaż Mike niejednokrotnie zwracał się do niej ze słowami pochlebstwa. Uderzało to nawet zwolenników Mikego, którzy poczęli mu coś przymawiać na temat tej dziewczyny. Ale Mike zamknął im gęby kilku groźnemi słowy i wyszedł. On nigdzie długo nie potrafił wysiedzieć. Zawsze go coś pędziło naprzód, jak owego wiecznego żyda, który od lat dwóch tysięcy tuła się po świecie. Na wychodnem skinął jeszcze głową owej dziewczynie i znalazł się znowu na ulicy.

Nie zauważył, że za nim posuwał się ciągle, jak cień nieodstępny, inspektor Byrnes. Szli dłuższy czas rozmaitymi zaułkami, aż Mike wstąpił wreszcie do drugiej nory, również ludźmi zapełnionej. Ale tu już było inne towarzystwo. Tutaj Mike musiał spokornieć, bo, o ile w gronie tamtych czuł się królem, o tyle tutaj widział, że wszyscy inni są w fachu złodziejskim bardziej od niego wyćwiczeni, że więc trzeba się stać pokorniejszym. Nie zabawił więc długo w tym szynku, wypił jeno trzy szklanki wódki i wyszedł. Widocznie rola poddanego nie przypadła mu do smaku.

Na rogu ulicy Krótkiej spotkał kilkunastu ludzi w jego wieku i przyłączył się do nich. Tutaj uczuł się znowu swobodnym, tu, między tymi rzezimieszkami, mógł wodzić rej. Zaczął więc chwalić się na nowo, łgać, wymyślać i kląć.

Naraz odłączył się od nich i zaczął dawać nadchodzącemu z bocznej ulicy rzezimieszkowi jakieś znaki i hasła.

— Hola, Banfield!

— Hola, Mike! — rozległ się przytłumiony głos.

Obydwaj odeszli na środek ulicy, głośno rozmawiając. — Inspektor stał w pewnem od nich oddaleniu. — Wiedział on, że przedmiotem ich rozmowy było nie co innego, jeno jakiś plan nowej zbrodni, ale nie chciał im przerywać, bo nie leżało w jego planie dzisiaj Mikego dostać w swoje ręce. Zresztą konferencya tych rzezimieszków nie trwała długo, bo po chwili obydwaj rozeszli się ze słowami: „Szczęść Boże“! Banfield udał się w kierunku południowym, Mike zaś w kierunku wschodnim. Za nim, jak cień, poszedł inspektor.

Ale wędrówka Mikego miała się już ku końcowi, bo po kilku minutach zapukał do opuszczonej jakiejś gospody w zaułku, gdzie widocznie mieszkał. Inspektor zanotował sobie numer domu i poszedł dalej, zadowolony, bo dowiedział się tego, czego chciał.

Na rogu najbliższej ulicy powiedział Mugginsowi, który szedł stale za nim, że jego rola już się skończyła, poczem ruszył dalej i zdziwił się niemało, że był właśnie na ulicy Wolności, a więc niedaleko domu Hanier'a.

Mike Gloin przedstawiał się pod każdym względem jak najgorzej. Mimo młodego wieku miał on na sumieniu niejedną już sprawkę. Jego towarzysze należeli do najgorszych mętów nowojorskich, a śledztwo, podjęte tej nocy przez inspektora, okazało, w jakich knajpach Mike się zazwyczaj obracał. Co jednak było szczególnie uwagi godne, to fakt, że nie było ani jednego pewnego dowodu, któryby przemawiał za winą Mikego. Mieszkał on wprawdzie niedaleko od domu Hanier'a i bardzo często obijał się po restauracyach, jakie się naokoło znajdowały; on miał pistolet, którym mógł był zastrzelić Hanier'a, a w dniu mordu pistolet był w jego rękach. Na drugi dzień po morderstwie zastawiony został w jednym z pobliskich lombardów jakiś pistolet, który mógł do niego należeć. Czy to były pewne dowody, że mordercą Hanier'a był Mike, czy też był to prosty przypadek?

— Trzeba będzie — myślał inspektor — dostać w swoje ręce kompanionów Mikego. A może by się przecie udało tak zręcznego i przebiegłego zbrodniarza, jakim był Mike, zmusić w krzyżowym ogniu pytań do przyznania się?

Zatopiony w myślach wyszedł znowu na jednę z odleglejszych ulic Nowego Jorku. Wszędzie było pusto. Kto wogóle miał jaki dach nad głową, tego mróz z pewnością zapędził do domu. Tylko przed jednym z szynków zobaczył inspektor bandę włóczęgów, głośno rozprawiającą. Właśnie przed chwilą wyrzucił wszystkich właściciel szynkowni i cała ta gromada, mężczyźni i kobiety, wrzeszczała, krzyczała i dopiero za ukazaniem się policyanta, uspokoiła się i rozbiegła na wszystkie strony. Inspektor szedł dalej.

Naraz przy świetle latarni zobaczył dziewczynę, młodą, ładną dziewczynę, która schyliła się, szukając czegoś na trotuarze. Widocznie zgubiła jaki kolczyk, lub szpilkę. Szef policyi poznał ją. Widział on ją tego samego wieczora w jednym z szynków, jak się do niej umizgał Mike. Zresztą znał ją jeszcze dawniej. Dziewczyna po chwili wyprostowała się i ujrzała przed sobą inspektora. Poznali się oboje.

— Karolino — rzekł inspektor — co to za kobiety, które tu przed chwilą widziałem?

Dziewczę zapłoniło się i spuściło oczy ku ziemi.

— Wiesz pan o tem tak dobrze, jak ja, panie inspektorze.

— A ty?

— Ja należę do nich.

— Przykro mi, że cię słyszę w ten sposób mówiącą. Kiedy przed rokiem odsyłałem cię do twojej matki do Elmiry, przyrzekłaś mi, że się poprawisz i że do tego życia już nie powrócisz.



...Póki jesteś młoda i ładna — ciągnął dalej inspektor — takie życie wydaje ci się przyjemnością i zabawą. Ale to nie trwa długo.

— Wiem, wiem — szeptało dziewczę stłumionym głosem i zaczęło płakać.

— Póki jesteś młoda i ładna — ciągnął dalej inspektor — takie życie wydaje ci się przyjemnością i zabawą. Ale to nie trwa długo, potem poznasz ciemniejsze strony! Kiedy jeszcze przed rokiem przyszła do mnie twoja matka i prosiła mnie, abym cię odszukał, nie narzekała na ciebie, ale z góry ci wszystko przebaczyła. Oddałem cię jej; zdawało się, że żałujesz swego postępku; a ona całowała cię, nazywała cię najdroższą córką i wtedy poznałaś, coś ty zrobiła, poznałaś, że wszystkie bogactwa i rozkosze tego świata są niczem wobec matczynej miłości. Przy mnie przyrzekłaś jej, że jej nigdy nie opuścisz, dopóki żyć będzie. Dlatego dziś mnie to smuci, że teraz znowu tu cię odnajduję.

Dziewczyna łkała tak, że słowa wymówić nie mogła. Inspektor słyszał tylko słowa, jakie szeptem wyrywały się z jej ust:

— To właśnie, to właśnie!

— Co to ma znaczyć? — zapytał.

— Matka umarła! — odparło dziewczę przez łzy.

— To przykre, bo to była dobra matka!

— Dobra była — zawołało dziewczę, opanowując się. — Tak dobrym jak ona nie był nikt, ja się o tem przekonałam. Bóg świadkiem, chciałam się poprawić, ale mi nikt nie chciał pomódz. Prześladowali mnie jak zaraza — ludzie z lepszych sfer; inni tembardziej dobijali się do mnie. Nienawidzę ich wszystkich, i siebie samej. Wstrętny mi jest cały świat! Moje miejsce rodzinne stało się dla mnie piekłem. Wszędzie mnie prześladowano i lżono na każdym kroku. Pieniędzy także nie miałam, więc sprzedałam domek, jaki odziedziczyłam po matce i przybyłam tutaj. W jakiż sposób miałam sobie zarobić na jakie takie utrzymanie? To, czegom się w szkole nauczyła, nie wystarczyło, aby wyżyć z tego, zresztą nie przywiązywałam do tego wagi, bo i czemużby? Ot — i znalazłam się tutaj — i jestem — pan wiesz — czem.

— Jesteś jeszcze młoda — rzekł inspektor poważnie — i mogłabyś żyć uczciwie, gdybyś tylko chciała.

— Nie mogę — zawołała — pan wiesz dobrze o tem! Gdybym poszła do zakładu poprawczego, zetknęłabym się tam z kobietami, o wiele gorszymi odemnie, więc gdybym stamtąd wychodziła, nie pozostało by mi nic innego, jak na nowo rozpocząć takie samo życie, jakie prowadzę dzisiaj, jeno jeszcze gorsze. A o to mi nie chodzi — i za to ślicznie dziękuję!

Z oblicza jej znikł wszelki ślad jakiegoś smutku i żalu. Lekkomyślna, zwykła ulicznica stanęła obok inspektora, śmiejąc się i przymilając.

— Przykro mi to, Karolino — rzekł Byrnes i odwrócił się, chcąc odejść.

— Niechże mi pan poda inny sposób do życia — zawołała. — Cóż ja mam robić? Może pan ma wśród tajnej policyi jakie miejsce dla mnie? Byłabym detektywem pierwszej klasy — niech pan spróbuje! — i roześmiała się znowu.

Inspektor obrócił się ku niej. Przyszła mu szczęśliwa myśl Dziewczyna ta była młoda, mądra, wykształcona i jeszcze nie całkiem upadła. Mogłaby stać się jeszcze użyteczną, podnieść się do pewnego stopnia z błota, w jakiem ugrzęzła, a równocześnie oddać sprawiedliwości niemałą przysługę. Zdawało mu się, że jej może zaufać; bo przecież ona mu była wdzięczną za to, że ją oddał jej matce i z pewnością nie zechce go oszukać. A chodziło mu głównie o to, czyby za jej pomocą nie udało się wydostać od Mikego jego tajemnicy.

— Pójdź ze mną, Karolino — rzekł. — Chciałem ci podać jeden projekt. Jeżeli masz odwagę i rozum, możesz mieć jeszcze świetniejszą przyszłość, aniżeli myślisz.

Ostrożnie i powoli zaznajamiał ją ze swoim planem. Nie ukrywał trudności, jakie będzie musiała przezwyciężyć, ale owszem, wysunął je na pierwszy plan, aby tem podbić jej ambicyę.

Dziewczyna chwyciła się sposobności, nadarzającej się jej teraz, jak tonący brzytwy. Nie można przeczyć, jakoby nie miała jak najlepszych zdolności na ajentkę. Przed rozstaniem się, powiedział jej inspektor, aby na drugi dzień przyszła do jego biura, gdzie ją dokładnie miał pouczyć o czekających ją obowiązkach.

Zjawiła się o oznaczonej godzinie i otrzymała potrzebne wskazówki. O co inspektorowi chodziło, tego nie wiedziała. Nie dowiedziała się nawet, o jaką zbrodnię chodzi. Jej zadanie polegało na tem, aby mogła pozyskać zaufanie Mikego i dowiedzieć się od niego wszystkiego, co będzie można.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Józef Sosnowski, reżyser i artysta teatru miejskiego w Krakowie.

Józef Sosnowski.

Sylwetka jubileuszowa.

Jeden z tych niewielu artystów, którzy żyją sztuką i dla sztuki, którzy dla niej poświęcają wszystkie swoje siły, nie goniąc za rozgłosem, bo w pracy swej znajdują pełne zadowolenie wewnętrzne. Temi słowy możnaby najogólniej scharakteryzować p. Sosnowskiego, którego podobiznę zamieszczamy w dzisiejszym numerze.

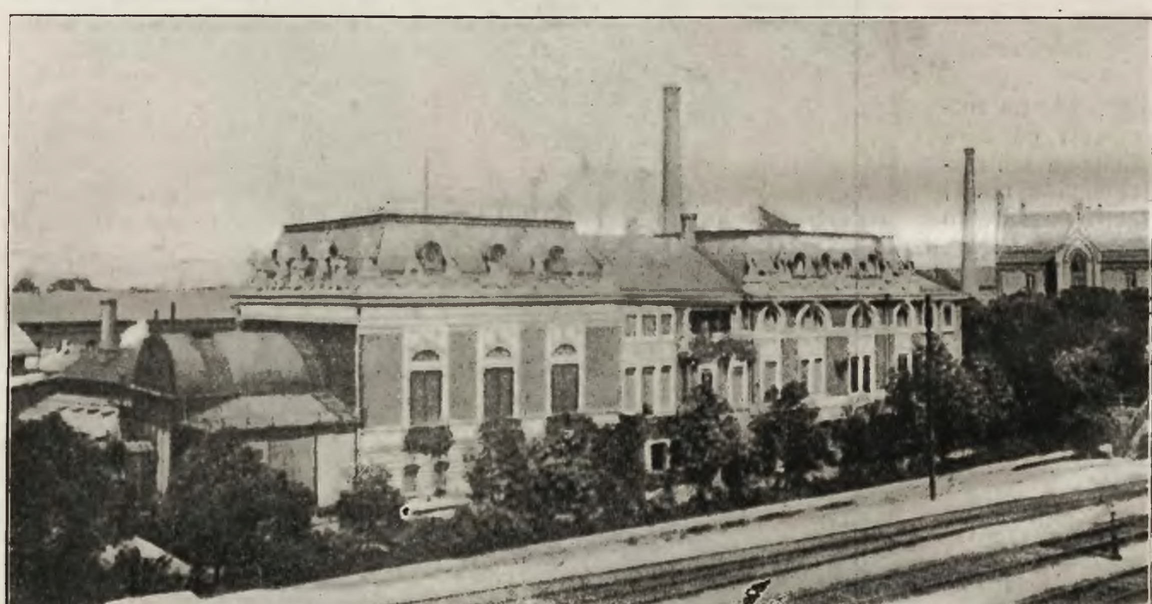
Sosnowski jest artystą w całem tego słowa znaczeniu twórczym. Obdarzony nadzwyczajną intuicyą, wykształcony i oczytany, nie wypowie on na scenie ani jednego słowa, którego wagi i znaczenia by nie rozumiał. Maska jego zawsze oryginalnie pomyślana i doskonała. To wszystko jest przyczyną, że kreacye Sosnowskiego tchną zawsze życiem, mają w sobie krew i kości. Dość wspomnieć z olbrzymiego jego repertuaru kreacye takie, jak Dziennikarz w „Weselu“, Kardynał w „Wyzwoleniu“, Bolesław Śmiały w dramacie Wyspiańskiego pod tym samym tytułem, ks. Piotr w „Dziadach“, Chłopicki w „Warszawiance“ i tyle, tyle innych. Talent to nawskróś bohaterski, wysubtelniony, umiejący oddać najlżejsze nawet drgnienia duszy w postaciach z nowego repertuaru, naginający się również doskonale do ról charakterystycznych. Kreacye Sosnowskiego w dramatach rosyjskich zwłaszcza, w sztukach Gorkija, Czechowa, Najdienowa, są tak wycyzelowane, tchną takim twórczym rozmachem i siłą, że się o nich nie zapomina. P. Solski, obejmując dyrekcyę sceny krakowskiej, powierzył p. Sosnowskiemu zaszczytny ale trudny urząd, mianowicie reżyseryę. I na tem polu nie zawiódł znakomity artysta nadziei, jakie w nim pokładano.

Trzeba zaznaczyć odrazu, że stanowisko, jakie Sosnowski dzisiaj zajmuje na scenie, zawdzięcza nietylko talentowi, ale i ciągłej, żmudnej pracy nad sobą samym. Bo pierwsze lata jego pracy scenicznej były tak smutne, że łatwo mogły go zniechęcić do sceny. Wystarczy przejrzeć pobieżnie jego biografię.

Karyerę sceniczną rozpoczął Sosnowski w Poznaniu za dyrekcyi Doroszyńskiego w roku 1881. Przy zmianie dyrekcyi zmuszony był po dwóch latach opuścić scenę poznańską i rozpoczął długą, bo 7 lat blisko trwającą, tułaczkę po prowincyonalnych teatrach w Królestwie Polskiem, mozolną, przykrą, tembardziej, że w teatrzykach tych zajmował bardzo podrzędne stanowisko. Nic dziwnego, że młodego adepta sztuki ogarniało powoli zniechęcenie, które wreszcie zaczęło brać górę nad zapałem młodej, rwącej się do lotu, duszy. Już miał porzucić deski sceniczne i usunąć się zupełnie od teatru, kiedy na zachmurzonym horyzoncie jego karyery zabłysła wreszcie jaśniejsza gwiazda. W roku 1890 przyjechał do Warszawy już ze stanowczym zamiarem rozstania się ze sceną i tam przypadkiem spotkał go bawiący wówczas w Warszawie sekretarz teatru poznańskiego, który go zaangażował. Dostał się więc po raz drugi na scenę, na której stawiał pierwsze kroki artystyczne, a że warunki mu sprzyjały, oddał się z całym zapałem pracy nad pogłębieniem i zharmonizowaniem swego talentu.

Pierwszą jego większą rolą był Mortimer w „Maryi Stuart“, w której to sztuce grał razem z Modrzejewską, będącą właśnie na gościnnych występach w Poznaniu. Rola ta zadecydowała o jego powodzeniu. Gorące pochwały, jakich mu nie szczędziła wielka artystka, dodały mu sił i ochoty do dalszej nad sobą pracy. Od tego czasu występował już bardzo często, a każda nowa rola przysparzała mu listków do wawrzynowego wieńca, jaki dziś skroń jego otacza. W roku 1894 zaangażowany został już jako siła pierwszorzędna do teatru łódzkiego, gdzie z małą przerwą przebywał aż do roku 1899, pełniąc przez rok obowiązki reżysera. Z Łodzi przeniósł się do Lwowa, skąd po roku zaangażowany został do Krakowa, gdzie od roku 1900 z chlubą dla siebie, a pożytkiem dla sztuki, lubiany przez kolegów i publiczność, do dziś dnia pracuje.

Zamieszczając tę sylwetkę i portret ulubionego artysty, chcieliśmy w jubileuszowym roku jego 25-letniej pracy scenicznej złożyć hołd talentowi, na którego rozwój patrzyliśmy od lat pięciu. *R.*



Teatr polski w Sosnowcu, pod dyrekcyą Eugeniusza Majdrowicza (budynek teatralny).



Teatr polski w Sosnowcu: Eugeniusz Majdrowicz, długoletni dyrektor teatrów prowincyonalnych w Król. Pol.



Teatr polski w Sosnowcu: Sylwestra z Adlerów Majdrowiczowa, artystka teatrów prowincyonalnych w Król. Polskiem.



Kto go zastąpi: Znakomity artysta sceny warszawskiej, Mieczysław Frenkiel, który podał się do dymisyi z powodu zmniejszenia gaży wszystkim aktorom.

Kto go zastąpi?

Pierwszy, który podaniem się o dymisyę zaprotestował przeciw zarządzonym redukcyom dotychczasowych pensyj artystów teatrów rządowych warszawskich — był Frenkiel, artysta-komik, znany na wszystkich scenach polskich, a od szeregu lat następca niezapomnianego w Warszawie Żółkowskiego. Pełen dowcipu i jowialnego humoru nie bez odcienia satyry, komik ten wziął na seryo sprawę dowolnego obniżenia gaż i wywołał podaniem o dymisyę szczere zaniepokojenie tak u publiczności, której jest ulubieńcem, jak i wśród kolegów.

Oto kilka dat z życiorysu Frenkla: Urodził się w Byzowie w Sandomierskiej w r. 1860. Jako student uniwersytetu warsz. wstąpił

w r. 1879 do szkoły dramatycznej pod wodzą Emila Derynga, po której ukończeniu w r. 1881 zaangażowany do teatru krakowskiego za Koźmiana, przenosi się stąd na wezwanie ś. p. Jana Dobrzańskiego do teatru lwowskiego, a w r 1890 do Warszawy.

Obszerny jego repertuar obejmuje kreacye Mollierowskie, Szekspirowskie, Fredrowskie. Jubileusz 25-letniej swej karyery scenicznej święcił w roli i sztuce: „Cyrano de Bergerac“.

Któż go dziś zastąpi na scenie warszawskiej, gdyby istotnie do tego przyszło, że Frenkiel musiałby opuścić „Rozmaitości“.

B-t.

Teatr polski w Sosnowcu

pod dyrekcyą Majdrowicza.

Wśród lasu wysokich kominów Sosnowca, poza paradną willą Dietla, niktby się nie domyślił siedziby teatru polskiego w skromnym parterowym domu, gdyby nie wskazywały go afisze, a koło godz. 8 mej wieczorem tłum publiczności, z przewagą robotników, dążący tam jak teraz n. p. na „Obronę Częstochowy!“ Sala widzów przepełniona. Na scenie kostyumy piękne, wystawa staranna, gra aktorów pełna zapału szczerego. Zespół to samych młodych sił, które zaprawia w zawodzie najzasłużeńszy kierownik teatrów prowincyonalnych w Polsce, p. Eugeniusz Majdrowicz, rodem Krakowianin. Przed laty 10-ciu przez pięć letnich sezonów wodził Majdrowicz wędrowny teatr polski z ramienia poznańskiego dyrektora śp. Dobrowolskiego po Wielkiem Księstwie Poznańskiem, po Prusach Zachodnich, docierając wówczas aż na Polskie Pomorze, do miast takich jak Wejherów (Neustadt) Soboty (Zoppot), Gdańsk, Komtury, Kościerzyn, Tczewo (Dirschau) Grudziądz! Misya to była prawdziwa, którą zwalczał zażarcie hakatyzm pruski aż wreszcie wbrew obronie w parlamencie posła Czarlińskiego uznał ją rząd pruski jako „Grosspolnische Agitation“ i zakazał dalszych wędrówek. Najjaśniejsze to chwile zawodu scenicznego Majdrowicza, który go zaczął jeszcze 27 lat temu w teatrze poznańskim w trupie Doroszyńskiego. Następnie lat 7 należał do teatru łódzkiego jako reżyser zarazem operetki, już żonaty z artystką uzdolnioną, również ulubienicą publiczności, panną Sylwestrą Adler, pamiętną swego czasu i w Warszawie z ról takich jak Motruna i Lena. Odtąd zawsze występują razem oboje i dziś w Królestwie niemasz miasta i miasteczka, dokądby nie dotarli i nie zostawili po sobie jak najlepszych wspomnień.

Majdrowicz ścisły i sumienny w podjętych obowiązkach dba w równej mierze o wykształcenie młodych talentów — jak świadczą o tem wychowańcy jego, Sosnowski (Kraków), Brydziński (Łódź) i wielu innych — a taksamo dbały o ich byt materyalny, nie zalega nigdy z wypłatą gaż, skromnych ale pewnych. Sam aktor z dużą rutyną, dźwięcznym głosem, dba o czystą, piękną dykcyę, przodując w tej mierze wraz z żoną. W Sosnowcu ma w swym personalu siły dobre, utalentowane, jak pna Jasieńczyk, pni Welichowska Rinner, zaś wśród mężczyzn wybijają się pp. Welichowski (lwowianin), Grodzicki, Wyrwicz, Tatarkiewicz i Kowalski. Majdrowiczowi w ciężkim zawodzie minął już przed dwoma laty rok jubileuszowy. Nie zauważył tego nikt — nawet on sam, znany ze skromności.

Bejot.



Rozstrzelanie 60 ludzi: Stacya kolejowa w kraju nadbałtyckim, na którą dokonano napadu i zabito zawiadowcę, skutkiem czego baron von Sievers kazał rozstrzelać 60 mieszkańców sąsiedniej wsi łotewskiej.



Rozstrzelanie 60 ludzi: Wioska w kraju nadbałtyckim, w której teraz po uśmierzeniu powstania Łotyszów i Estów, stacyonowano oddział artyleryi przed dworem niemieckiego barona.

Rozstrzelanie 60 ludzi.

W jednym z dzienników petersburskich ogłosili wybitni przedstawiciele inteligencyi łotewskiej i estońskiej, protest przeciw okrucieństwu oddziałów egzekucyjnych, przez Niemców samach dowodzonych, które na żądanie baronów niemieckich uśmierzają prowincye nadbałtyckie. Stwierdzają protestujący, że powstanie łotewsko-estońskie miało charakter agrarny. Jeżeli zaś tu i owdzie bandy miejskich proletaryuszów i chuliganów dokonywały napadów zbrojnych na dwory baronów niemieckich, na instytucye publiczne w miastach i na stacye dróg żelaznych, to bezrolni Łotysze i Estowie przyłączali się do nich tylko pod grozą gwałtów. Tymczasem straszne kary spotykają dziś po większej części ludzi, którzy nie brali udziału ani w powstaniu ani w napadach rozbójniczych, a tylko kiedyś tam ściągnęli na się gniew miejscowego barona niemieckiego. Obecnie prasa rosyjska, nie wyjmu jąc nawet silnie reakcyjnej, zupełnie bez ogródek wskazuje Niemców, jako głównych sprawców okrucieństw i zniszczenia w prowincyach nadbałtyckich Oto jedno z pism, bynajmniej nie sprzyjające rewolucyonistom, opowiada wśród licznych opisów ostatnich wypadków w tych krajach, takie zdarzenie. Na pewnej stacyi (obok dajemy jej podobiznę) oczekiwano przybycia pociągu. Na peronie patrolowało wojsko, nadszedł bowiem właśnie w te strony oddział egzekucyjny pod wodzą barona von Sieversa. Ledwie zjawił się na peronie zawiadowca stacyi ze swym pomocnikiem i dyżurnym urzędnikiem, padły strzały z drugiej strony toru, z brzegu lasu. Zawiadowca legł trupem, jego towarzysze odnieśli rany śmiertelne. Ale zanim żołnierze z dworca posłali kule w stronę napastników, już ani jednego sprawcy nie było w pobliżu. Wszyscy przepadli wśród lasu. Wtedy br. Sievers kazał schwytać 60 ludzi spokojnych we wsi sąsiedniej i przyprowadzić do karczmy przed swe oblicze. Kazał im przynieść rózgi, któremi miano ich chłostać, a podczas chłosty musiał jeden z nich trzymać za nogi drugiego. Następnie oświadczono wszystkim, że zostaną rozstrzelani bez śledztwa i sądu, bezwłocznie. Nieszczęśliwi na kolanach błagali barona o litość,



Rozstrzelanie, 60 ludzi: Wnętrze rozwalonej przez wojsko karczmy nadbałtyckiej, w której baron von Sievers wydał wyrok skazujący 60 Łotyszów na rozstrzelanie; na ławie siedzi zrozpaczony gospodarz.



Zamach rewolucyonistki na admirała: Wiceadmirał floty czarnomorskiej Czuchnin, do którego w Sebastapolu strzelała młoda, nieznana kobieta.





Pozbycie się posła-intryganta: Odwołany z Belgradu poseł niemiecki br. Heyking, Następca br. Heykinga w Belgradzie, ks. Ratibor i Corvey.



Usunięcie generała Leniewicza: Nowy naczelny wódz armii rosyjskiej na Dalekim Wschodzie. gen. Grodekow.

przynajmniej o sąd nad nimi. Ale ten nie słuchał, był głuchym na ich prośby. Wyprowadzono ich nad jezioro, gdzie u stóp ruin starożytnego zamku wykopano wielki dół. Skazani z twarzami wykrzywionemi od śmiertelnej trwogi tu znowu padli na kolana przed Sieversem. prosząc o oddanie pod sąd. „Myśmy niewinni! Ześlij nas, ekscelencyo, do katorgi, na bezludną wyspę, ale daruj życie!“ W odpowiedzi baron zakomenderował: „celuj. pal!“ Mimo, że żołnierze strzelali z tyłu, niemal dotykając lufami skazanych, niektórzy po salwie męczyli się jeszcze. Tych baron Sievers własnoręcznie dobijał z rewolweru. Niepodobna było patrzeć na ten obraz okropny. Zebrany tłum widzów, płacząc głośno, rozpierzchnął się po straceniu pierwszego szeregu skazanych. Dziś w tej wsi spokojnej, przed dworem miejscowego obywatela, Niemca, stoi dniem i nocą w pogotowiu artylerya — jak to widać na drugiej rycinie. Trzecia zaś illustracya przedstawia wnętrze rozwalonej przez wojsko karczmy, w której br. Sievers, ku rozpaczy gospodarza, skazał 60 ludzi na rozstrzelanie — bez sądu i śledztwa...

Zamach rewolucyonistki na admirała.

Dajemy tu Czytelnikom portrecik rosyjskiego wiceadmirała Czuchnina, którym zainteresowano się teraz w świecie z powodu zamachu, dokonanego na jego osobie przez młodą, dwudziestoparoletnią kobietę. Do gabinetu jego w Sebastopolu dostała się ona w ten sposób, że przedstawiła się jako córka dymisyonowanego admirała, zamierzająca prosić o pensyą dla wdowy po kapitanie. Gdy znalazła się przed Czuchninem, po krótkiej rozmowie



Kardynał francuski przyjaciel Polaków: Świeżo zmarły kardynał ks. Adolf Perraud, Oratoryanin, biskup w Autun, przyjaciel Polski, opiekun naszych emigrantów po r. 1863. (Treść na str. 18).

sięgnęła do sukni rzekomo po podanie na piśmie, tymczasem dobyła rewolweru i w mgnieniu oka przeszyła wiceadmirała 4-ma kulami, z których dwie przeszły go nawet na wylot. Na odgłos strzałów wpadli marynarze, do których sprawczyni zdołała tylko wyrzec, iż zamach spełniła z rozkazu partyi bojowej. Wywleczono ją na dziedziniec i rozstrzelano na miejscu. Ponieważ ciało jej po tej doraźnej egzekucyi przedstawiało jedynie masę niekształtną, przedziurawioną 40 kulami, przeto nie sposób było rozpoznać osobistości rewolucyonistki, która podobnie jak przedstawiła się fałszywie, tak też musiała przybyć do Sebastopola na cudzym paszporcie, ten zaś opiewał na nazwisko Krupnickiej, mieszkanki Kowna, wyzn. rzymsko-kat. Wiceadmirał floty czarnomorskiej Czuchnin, ciężko zraniony, żyje do tej chwili.

Pozbycie się posła-intryganta.

Sensacyą sprawiło świeżo nagłe i niespodziewane odwołanie posła niemieckiego w Belgradzie barona Heykinga. Przeniesienie go ze stolicy serbskiej wiążą w kołach dobrze poinformowanych z pogłoskami dziwnie brzmiącemi, jakie krążyły w ostatnim czasie w pismach, że opór Serbii, prowadzącej teraz zaciętą walkę handlową z Austro-Węgrami, podnieca pośrednio Rzesza niemiecka, a czemu gorąco zaprzeczano z Berlina. Przypuszczają, że br. Heyking w Belgradzie był do pewnego stopnia wmieszany w tajne rokowania serbsko-bułgarskie. Za te matactwa usunięto obecnie intryganta z Serbii. A jest to ten sam dyplomata, którego w podobny, jak dziś, sposób, odwołano w swoim czasie z Pekinu za jawne matactwa przeciwangielskie. Szerszą publiczność zna lepiej od niego pani Heykingowa, żonę posła, która przed 2 laty wydała książkę sensacyjną, tłómaczoną również na język polski. Książka ta rozławiła imię autorki po całym świecie, a tytuł jej: „Listy, które go nie doszły“.

Załączamy tu podobiznę odwołanego z Belgradu posła-intryganta, oraz fotografię jego następcy, którym rząd niemiecki zamianował dotychczasowego swego przedstawiciela w Atenach, ks. Ratibora.

Usunięcie gen. Leniewicza.

Bunty żołnierzy na Syberyi, które od czasu zaprzestania kroków wojennych w Mandżuryi stały się wypadkiem codziennym, przybrały, jak wiadomo, w ostatnich czasach rozmiary poważne. Miasta Charków i Władywostok zostały prawie zniszczone przez rokoszan wojskowych, ruch na kolei syberyjskiej ustawał co chwila skutkiem wybryków wojsk powracających z Mandżuryi. Generał Leniewicz, który objął przed rokiem w marcu naczelne dowództwo nad armią rosyjską na Dalekim Wschodzie, nie potrafił ani dyscypliny w wojsku utrzymać ani w razie buntów przywrócić porządku. Wysłano tedy z Petersburga adjutanta cesarskiego hr. Meyendorfa do Mandżuryi, celem zdania sprawy ze stanu rzeczy. Raport jego musiał źle wypaść dla Leniewicza, skoro generał Grodekow, były naczelnik okręgu amurskiego, otrzymał polecenie udania się do Mandżuryi dla zapobieżenia na przyszłość buntom wojskowym. Obecnie zaś odebrano wreszcie generalną komendę Leniewiczowi, a mianowano wodzem naczelnym armii na Dalekim Wschodzie generała piechoty Grodekowa, którego portrecik dajemy tu dziś z tego powodu. Telegrafował on już z Mandżuryi, że odebrał z rąk Leniewicza swój nowy urząd.



Największy okręt na świecie: Spuszczony 10 bm. na wodę w Portsmouth, nowy pancernik angielski „Dreadnought“, największy, najpotężniejszy i najszybszy z wojennych okrętów na kuli ziemskiej, zbudowany w ciągu $4\frac{1}{2}$ miesiąca, kosztem 45 milj. koron. (Artykuł na str. 20).



Prymas Polski przeciw polskim „Strażom“ Arcybiskup: gnieźnieńsko-poznański, prymas Polski, ks. Floryan Stablewski, który zakazał duchowieństwu uczestniczyć w obywatelskiej pracy przeciwhakatystycznych „Straży“ w zaborze pruskim.

Prymas Polski przeciw polskim „Strażom“.

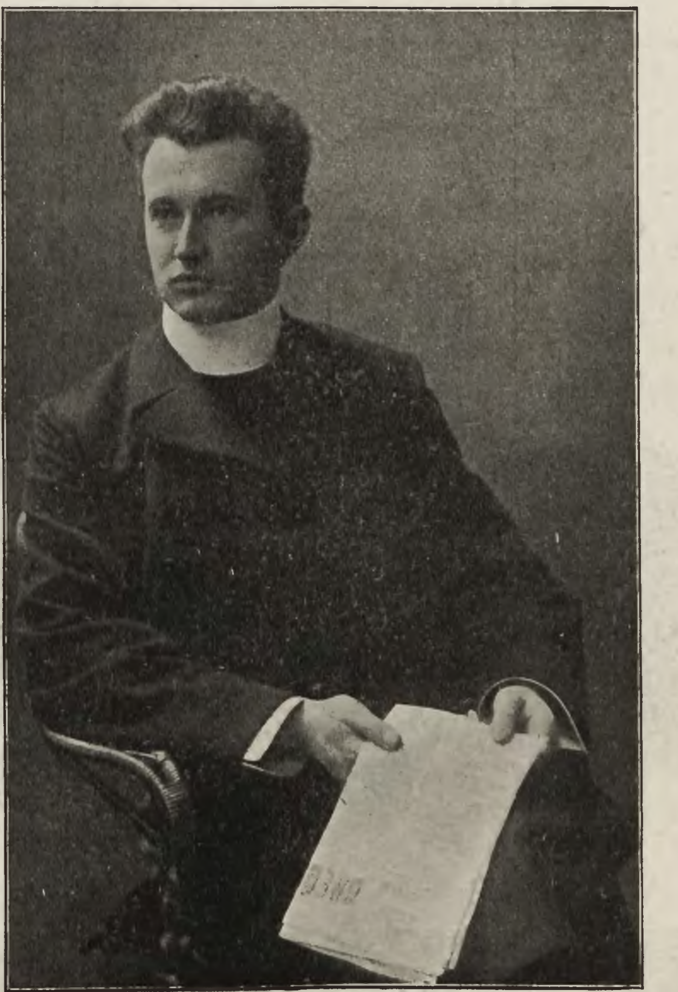
Żarliwy i złotoustą wymową płomienny niegdyś, w parlamencie berlińskim, obrońca sprawy polskiej, ks. Floryan Stablewski, wyniesiony faworem cesarza Wilhelma II. na stolicę dawnego prymasa Polski, ulegać odtąd zaczął niejednokrotnie natchnieniom polityki zbytniej uległości wobec uroszczeń rządu niemieckiego, podżeganego przez polakożerczy hakatyzm. Wyradzało to niejednokrotnie wewnętrzne kolizye i starcia nawet w łonie samego, podległego prymasowi, duchowieństwa polskiego, zażegnywane nieustannemi ustępstwami. Trudniej o nie było wśród kół i stronnictw politycznych czy związków polskich ekonomicznych. Te trzymając odpowiedzialną i czujną „straż nad Wartą“, a zmuszone odpierać nieustanne ataki hakatyzmu, wiązały się w coraz bardziej zwarte szeregi, by walczyć w obronie wiary, narodowości, języka, ziemi, rodziny, bytu i życia. Wrogi hakatyzm, zbrojny w rządową powagę, siłę i środki, zaciekły w eksterminacyjnem tępieniu wszystkiego, co polskie, wykluczał też nawzajem wszelkie ustępstwa, wszelkie względy, wszelkie słabości ze strony polskiej.

Nie umiał, czy nie mógł, czy nie chciał tego zrozumieć od pewnego czasu arcybiskup gnieźnieńsko-poznański ks. Stablewski i popadł kilkakrotnie w sprzeczność z ciążącymi na nim względem Polski obowiązkami. Już w lecie, w czasie gościny cesarza Wilhelma w Poznaniu, dotknął boleśnie godność narodową a nawet religijną polską, posunąwszy się do przesadnych a niepraktykowanych dotąd przez swych poprzedników oznak lojalności: przybrać kazał prastare wieżyce katedry w krzyżackie czarno-białe flagi i na powitanie bić w dzwon św. Wojciecha, świętość w rodzaju „Zygmunta“ w Krakowie. Dotknęło to głęboko ludność katolicką polską a odbiło się wonczas echem wyrzutu i nagany w całej prasie polskiej.

Niestety fakt ten był tylko zewnętrznym wyrazem skorej do ustępstw polityki arcybiskupa, która zaznaczyła się wreszcie nowym, wielce niepożądanym aktem. Oto ks. arcyb. Stablewski, którego portret, dziś tak aktualny, zamieszczamy obok, zabronił podwładnemu sobie duchowieństwu polskiemu uczestniczyć w pracach obywatelskich tamtejszego stowarzyszenia „Straż“, zapoczątkowanego przez p. Józefa Kościelskiego dla obrony interesów polskich na kresach poznańskich, a szczególnie dla przeciwdziałania drapieżnej polityce hakatyzmu.

Na szczęście, lud wielkopolski, świadomy dziś swych obowiązków obywatelskich i dojrzały politycznie, potrafi o własnych siłach prowadzić zwycięską walkę z wrogim hakatyzmem. Był już bowiem czas, kiedy stolicę św. Wojciecha, prymasa Polski, zajmował — Niemiec, ks. Dinder, a jednak walka ze strony polskiej ani nie ustała ani nie osłabła i hakatyzm nie mógł tryumfować. Tak samo będzie i teraz.

W duchowieństwie poznańskiem nie brak kapłanów silnych duchem narodowym, oddanych sprawie polskiej i ludowi. Znajdą oni dość pola do pracy w owych niezliczonych związkach, w spółkach rolniczych wiejskiego ludu. Są też między nimi światli nauką, silni charakterem, powołani do większych może zadań w przyszłości, skoro teraźniejszość usuwa ich z areny. Do takich należy ks. Kazimierz Zimmerman (oto jego podobizna), na którym odbiły się zeszłego roku nieporozumienia w łonie samego duchowieństwa, skupionego wraz z ziemiaństwem około dawnego pisma codziennego, „Kuryera Poznańskiego“. Pismo to po latach trzydziestu zwinięto z powodu... postawionych przez arcybiskupa ks. Stablewskiego żądań zmiany kierunku. Redakcya, na której czele stał wówczas właśnie ks. Zimmerman, zrozumiała, iż ustępstwa te byłyby w sprzeczności z opinią społeczeństwa, a przeto wolała raczej wydawnictwo zawiesić — aż do „lepszych czasów“. *Bejot.*



Prymas Polski przeciw polskim „Strażom“: Były redaktor zwiniętego „Kuryera Poznańskiego“, ksiądz Kazimierz Zimmermann, jeden z najwybitniejszych kapłanów-obywateli w zaborze pruskim.

Zemsta Łotyszów.

Według ostatnich wiadomości, obliczono w Petersburgu, że w ciągu dwóch lat w różnych okolicach państwa rosyjskiego spalili dotychczas rewolucyoniści po wsiach 1.800 dworów, sprawiając ogółem obywatelom przeszło 34 milj. rubli straty. Najwięcej napadów na dwory zdarzyło się zaś w ciągu ostatniego roku w prowincyach nadbałtyckich. Najczęściej dokonywali Łotysze aktów zemsty na uciskających ich strasznie a wszechwładnych baronach niemieckich. Dwory ich, pałace i zamki stare palono bez litości, szerząc zniszczenie nie do opisania.

* * *

Oto np. wszystko — jak wskazuje obok rycina — co pozostało z zabudowań bogatego dworu barona Sieversa. Druga, mniejsza rycina, mało napozór mówiąca, wyobraża znów zamek nadbałtycki Koksenhusen, który będą kiedyś prawnuki ludności okolicznej pokazywali, jako osobliwość historyczną. Tu rewolucyoniści łotewscy więzili baronów niemieckich, którzy teraz, uwolnieni przez odsiecz wojskową — mszczą się nawzajem okrutnie na mieszkańcach wsi nadbałtyckich.



Zemsta Łotyszów: Oto, co pozostało z zabudowań bogatego dworu nadbałtyckiego barona von Sieversa po napadzie zbrojnego oddziału rewolucyonistów łotewskich.



Zemsta Łotyszów: Zamek nadbałtycki Koksenhuzen, w którym rewolucyoniści łotewscy więzieli niedawno baronów niemieckich.

Zamach stanu na Węgrzech.

Osobistości odgrywające wybitne role w obecnym ruchu rewolucyjnym w Budapeszcie.



Hr. Stefan Tisza.



Prezydent Sejmu Juliusz Just.



Franciszek Kossuth.



Hr. Juliusz Andrassy.



I. Wiceprezydent Sejmu Rakovszky.



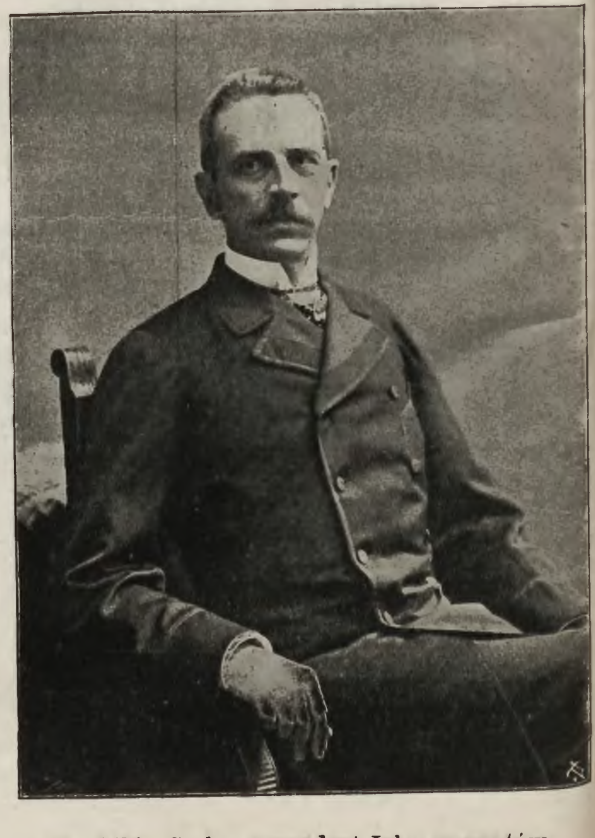
Br. Banffy.



A. Apponyi.



II. Wiceprezydent Sejmu F. Bolgar.



Hr. Albin Csaky, prezydent Izby magnatów.



Arcyksiążę Józef (miał zostać komisarzem królewskim).

Zamach stanu na Węgrzech.

Znany jest Czytelnikom naszym przebieg długiej walki opozycyi narodowej na Węgrzech z Koroną. Nie będziemy tedy przypominali im dzisiaj powodów, dla jakich wreszcie rząd zdecydował się na krok ostateczny, który powszechnie uznano za zamach stanu, pogwałcenie konstytucyi i przywrócenie absolutyzmu. Król węgierski nabrawszy przekonania, że nie może się porozumieć z większością sejmu, uznał, że nie ma innego środka, jak rozwiązać parlament, któremu nie chce pozwolić na wytworzenie rządu i rozpoczęcie obrad, a ponieważ niema nadziei, aby nowe wybory mogły dać sejm inny, postanowił rozpocząć próbę rządów bez parlamentarnych, a więc absolutnych w krajach korony św. Szczepana. Do tej ryzykownej próby dał się użyć prezes ministrów, jenerał Fejervary. Ale ten nie chciał brać na siebie wszystkich ciężarów i wolał dzielić władzę z Koroną, konstytucyjnie nieodpowiedzialną. Tylko że król sam do Budapesztu zjechać nie chciał i poprzestał na zamianowaniu komisarza królewskiego z nadzwyczajnemi pełnomocnictwami. Miał nim zostać z woli Franciszka Józefa najbliższy Węgrom arcyksiąże Józef, który się jednak od tej przykrej misyi wyprosił za wstawieniem się arc. Gizeli, i wyjechał co prędzej z żoną za granicę. Wtedy wybór ostateczny padł na byłego ministra honwedów, jenerała Nyiri, który też w sobotę zjechał do rezydencyi w Budzie.



Gabor Ugron.

W poniedziałek nadszedł wreszcie dzień krytyczny, który pozostanie w dziejach węgierskich chwilą epokową. Dziewiętnasty lutego 1906 stał się dniem żałoby narodowej w stolicy i kraju. Posłowie przybyli na otwarcie sejmu w czarnych strojach, na mieście powiewały żałobne sztandary, sklepy były zamknięte, studenci manifestowali po ulicach z odznakami krepowemi. A z drugiej strony rząd skonsygnował całą siłę wojskową Budapesztu i otoczył wojskiem ogromnem gmach sejmowy nad Dunajem. Przy otwarciu posiedzenia głośno w Izbie posłów zaprotestowano też zaraz przeciw temu, zresztą mimo wszystko spokojny przebieg miało to historyczne acz tak krótkie posiedzenie, któremu w zastępstwie ciężko chorego Justha przewodniczyli świetnie obaj wiceprezydenci Rakovszki i Bolgar. Przyjęto wniosek, by nie otwierać, lecz zaraz zwrócić pismo królewskie przez jen. Nyiriego przysłane do prezydyum, a rozwiązujące sejm świeżo otwarty bez podania terminu nowych wyborów. Uchwalono odbyć następne posiedzenie w środę, poczem zamknięto obrady. Wtedy w sali sejmowej zjawiła się policya, a mimo, że posłowie salę opuścili, wszedł na trybunę pułkownik honwedów Fabricius, otoczony żołnierzami z bagnetami najeżonemi i wobec galeryi, której jeszcze nie zdążono opróżnić, odczytał dekret królewski, którego prezydenci Izby czytać nie chcieli. Publiczność wrzawę podniosła, lecz honwedzi i policya opróżnili przemocą gmach parlamentu, zamknęli go i opieczętowali.

Nowsze dzieje państw konstytucyjnych nie znają przykładu rozwiązania reprezenta-



Generał Aleksander Nyiri, komisarz królewski.

cyi narodowej w sposób podobny do tego, w jaki dokonano aktu takiego w poniedziałek ubiegły w Budapeszcie. Otoczenie gmachu sejmowego wojskiem, wtargnięcie policyi do jego wnętrza jeszcze przed posiedzeniem, obsadzenie korytarzy i biur ministeryalnych, ograniczenie praw prezydyum sejmowego, wszystko to nie da się pogodzić z zasadą nienaruszalności ciała prawodawczego i jego członków. To też niemałe zdziwienie wywołał powszechnie fakt, że w dniu 19 b. m. odbyło się wszystko względnie spokojnie i że nie przyszło do zaburzeń, do starć gwałtownych. Prasa podziwia umiarkowanie, okazane w dniu tym przez ogół członków Sejmu węgierskiego; którzy wprawdzie nie uznali prawomocności aktu rządowego, nie przyjęli orędzia królewskiego, sejm rozwiązującego, ale uniknęli wszystkiego, coby mogło zaostrzyć położenie krytyczne. Nawet dumni magnaci węgierscy rozeszli się spokojnie po zaprotokołowaniu wniosku, żeby z pismem królewskiem postąpić tak samo, jak w Izbie deputowanych.

Jakkolwiek opór czynny przeciw ogromnej sile wojskowej, jaką rząd rozwinął w stolicy w dniu rozwiązania sejmu, a do której użyto przedewszystkiem rumuńskiej ludności z różnych pułków — byłby na-

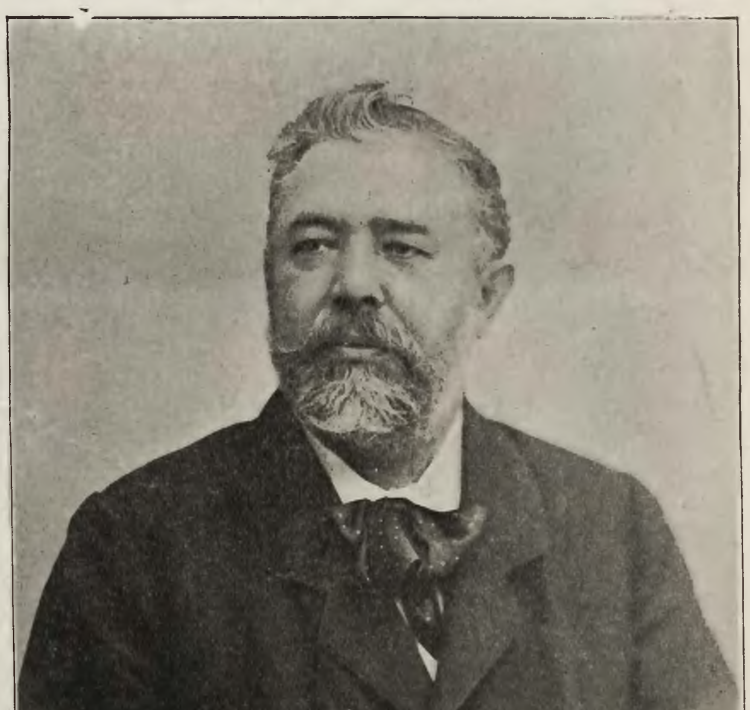


Baron Geza Fejervary, prez. min.

der trudnym dzisiaj, a nawet prawie niemożliwym, to jednak spokój do tej chwili przynajmniej panujący w Budapeszcie, a będący objawem dobrze obmyślanej taktyki opozycyi węgierskiej — nie dowodzi bynajmniej, by naród poddał się przewadze rządu i woli Korony z którą walka dotychczas prowadzona już niemal zawzięcie, zacznie się właśnie dopiero teraz na dobre, acz nie koniecznie krwawo. I zdaje się, że jej największe niebezpieczeństwo grozić może właśnie w takiej walce, polegającej na oporze ciągłym i stanowczym w każdej dziedzinie życia państwowego. Już dziś wiadomo, że opozycya usiłuje rozszerzyć agitacyę swoją na wszystkie sfery społeczne, urzędników i wojska nie wyłączając, przyczem łatwo może przyjść do zdezorganizowania wszelkich władz, skoro tylko powiodą się zamierzone masowe strejki urzędnicze kolejowe i t. p., co wszystko razem gotowe przysporzyć rządowi więcej kłopotu aniżeli Sejm, którego się pozbyto za jednym zamachem.

* * *

Oprócz illustacyi tytułowej, malującej jeden z epizodów opróżniania przez policyę gmachu parlamentu, podajemy w dzisiejszym numerze szereg portretów osobistości, jakie odgrywają wybitne role w ostatnich wypadkach na Węgrzech.



Geza Polonyi.



Amerykańska królewna: Popularna na obu półkulach, córka prezydenta Stanów Zjednoczonych, Alicya Roosevelt i Mikołaj Longworth, których ślub odbył się 17 b. m. w Waszyngtonie.

Amerykańska królewna.

Wiadomo, że szerokie koła ludności interesują się zazwyczaj w wysokim stopniu życiem prywatnem członków domów panujących, a z największą ciekawością wglądają w sekrety każdej królewnej, której narzeczeństwo, zaślubiny, małżeństwo, to gratka najlepsza wśród lektury gazetowej. Tymczasem niema dziś w Europie księżniczki z domu panującego, któraby się cieszyła taką popularnością, jaką w ostatnich czasach zdobyła sobie na obu półkulach córka prezydenta Stanów Zjednoczonych, Alicya Roosevelt, ulubienica amerykanów, którzy nie mając swego monarchy i dworu, znaleźli w niej swoją „królewnę“. Odkąd zaś zaręczyła się ich Alicya z członkiem kongresu Nicholasem Longvorthem, cały świat zajmował się już każdym jej krokiem, że dzienniki dla zaspokojenia ciekawości swych czytelników musiały niemal codzień przynosić wiązankę nowych szczegółów, to o niej samej i jej życiu, upodobaniach itp., to znów o przygotowaniach do wesela, o jej bajecznej wyprawie ślubnej, o której istne cuda opowiedziano. Dziś Alicya Roosevelt i Nicholas Longvorth, których wspólną fotografię, jednę z miliona zdjętych świeżo przez natrętnych reporterów, dajemy dziś naszym Czytelnikom, są już po ślubie, który 17 bm. odbył się ze wspaniałością wielką w „Białym Domu“ prezydenta w Waszyngtonie. Tomy całe dałoby się złożyć z tego, co przy tej okazyi wypisano po dziennikach o podarkach ślubnych, jakie panna młoda otrzymała zewsząd. Doszło do tego, że jej ojciec nie mógł wielu zbyt kosztownych, lub od całych państw nadesłanych przyjmować, jako człowiek prywatny, motywując odmowę tem, że republikańska konstytucya Stanów nie uznaje córki prezydenta. Podobno więc nie przyjęto prezentu Francyi, bogatego gobelinu. Za to przyjęte zostały upominki od monarchów, jako osobiste, więc dyamentowy naszyjnik od Franciszka Józefa, stół mozajkowy od Wiktora Emanuela, kopię mozajkową rzadkiego obrazu od Piusa X. itp. Jest tam nawet złota zastawa do stołu, kolie bryllantowe niesłychanej wartości i różne klejnoty zbytkowne, a suknie w wyprawie tej amerykańskiej „królewnej“ mają być tak piękne, jakich jeszcze Waszyngton nie oglądał i jakich nie powstydziłaby się żadna z prawdziwych królowych w Europie.



Stephany.

Sensacyjne odkrycia: Były komisarz niemieckiej policyi w Alzacyi i Lotaryngii, Stephany, aresztowany w Zurychu na żądanie Niemiec a grożący skandalicznemi rewelacyami o gospodarce pruskiej w tych prowincyach.

Kardynał francuski przyjacielem Polaków.

Już od dłuższego czasu stało się wspomnienie Polski niepopularnem we Francyi, gdzie sympatye, któremi przedtem nas darzono, przeniesiono z politycznych względów w inną stronę. To też do rzeczy dziś niezwyczajnych należą wypadki, byśmy mogli spotykać przyjaciół swojej ojczyzny wśród jakichkolwiek dostojników francuskich. A właśnie wielkiego przyjaciela stracili Polacy w świeżo zmarłym kardynale Adolfie Perraud, biskupie dyecezyi Autun, w której znajduje się sławne z pielgrzymek miejsce Paray-le-Monial, niedaleko znanego w dziejach naszych Kluniaku. Nieboszczyk był jednym z 40 „nieśmiertelnych“ jako członek Akademii francuskiej, a należał do kongregacyi Oratoryanów, w Polsce Filipinami zwanych, które to Zgromadzenie za najuczeńsze uchodzi. Bliskimi stosunkami przyjaźni złączony z generałem Władysławem hr. Zamoyskim i jego rodziną, dochował ojczyźnie naszej wraz z całem Zgromadzeniem Oratoryanów francuskich wiernej przyjaźni do końca życia. A możemy mu być wdzięczni serdecznie, bo on to przed laty opiekował się w Paryżu gorliwie naszymi emigrantami, po r. 1863. Może dla niejednego z nich drogą pamiątkę będzie dziś stanowił nasz portret ks. kardynała Perraud, którego zgon opłakuje szczerze osierocona dyecezya Autun. Zmarły biskup liczył już 78 lat, purpurę kardynalską nosił od roku 1893. Przyczyną śmierci stało się przeziębienie, jakiego ks. Perraud nabawił się w zbyt ogrzanym na jego przyjęcie klasztorze, dokąd przybył na wizytacyę. (Portret na str. 14).

Tragiczna katastrofa na pogrzebie.

Wieś Płonna w Sanockiem była w zeszłym tygodniu w sobotę miejscem niesłychanie tragicznej katastrofy.

W dniu tym miał się w Płonnej odbyć pogrzeb śp. Włodzimierza z Truskolasów Truskolaskiego, posła sejmowego, marszałka ziemi Sanockiej, który po ciężkiej słabości zmarł w sile wieku. Na pogrzeb zjechała bliższa rodzina i kilku sąsiadów już w piątek, reszta zaś w nocy na sobotę. Pierwszymi byli w domu żałoby brat cioteczny nieboszczyka, Stanisław z Leszny Leszczyński, urzędnik Rady powiatowej sanockiej, oraz Stefan Janowski, najbliższy sąsiad, właściciel Falijówki, a szwagier



Tragiczna katastrofa na pogrzebie: Grupa uczestników uroczystości zaślubin St. Leszczyńskiego z Janowską, odbytej przed 5 miesiącami w Falijówce; wśród gości weselnych znajduje się ś. p. poseł Włodzimierz Truskolaski (1), na którego pogrzeb w Płonnej w Sanockiem przed tygodniem przybyli goście ulegli groźnemu zaczadzeniu, dwaj z nich zaś skutkiem tego zmarli: ś. p. Stefan Janowski (2) i jego szwagier ś. p. Stanisław Leszczyński (3).

p. Leszczyńskiego. Obaj ci panowie zajęli się pogrzebem, a wieczór o godzinie 10 znużeni pracą ułożyli się do snu w pokoju, położonym w oficynach dworskich.

Nocnym pociągiem przybyli do Płonnej pp. Bronisław Leszczyński ze Lwowa (brat Stanisława), dr Jan Paygert, docent uniwersytetu, redaktor „Rolnika“, Robert Pragłowski i Wiktor Żurowski. Zaraz po przybyciu udali się oni również do oficyn i położyli się spać w pokoju, sąsiadującym z tym pokojem, w którym spali pp. Janowski i St. Leszczyński. W obu pokojach opalono piece — jak zawsze — węglem kamiennym. Z niewyjaśnionych dotąd przyczyn wywiązał się w nocy czad, skutkiem czego wszyscy wymienieni wyżej panowie ulegli zaczadzeniu. Służba, wszedłszy rano do pokojów, znalazła ich bez znaków życia leżących na łóżkach. Zaalarmowano natychmiast cały dwór, wzięto się do ratunku i po kilkogodzinnych usiłowaniach zdołano czterу zaczadzonym a to pp. Bronisławowi Leszczyńskiemu, dr Paygertowi, Pragłowskiemu i Żurowskiemu wrócić przytomność. Natomiast pp. Stanisław Leszczyński i Stefan Janowski, mimo lekarskiej pomocy, przytomności nie odzyskali i zmarli ku strasznej rozpaczy swych młodych żon i całej rodziny.

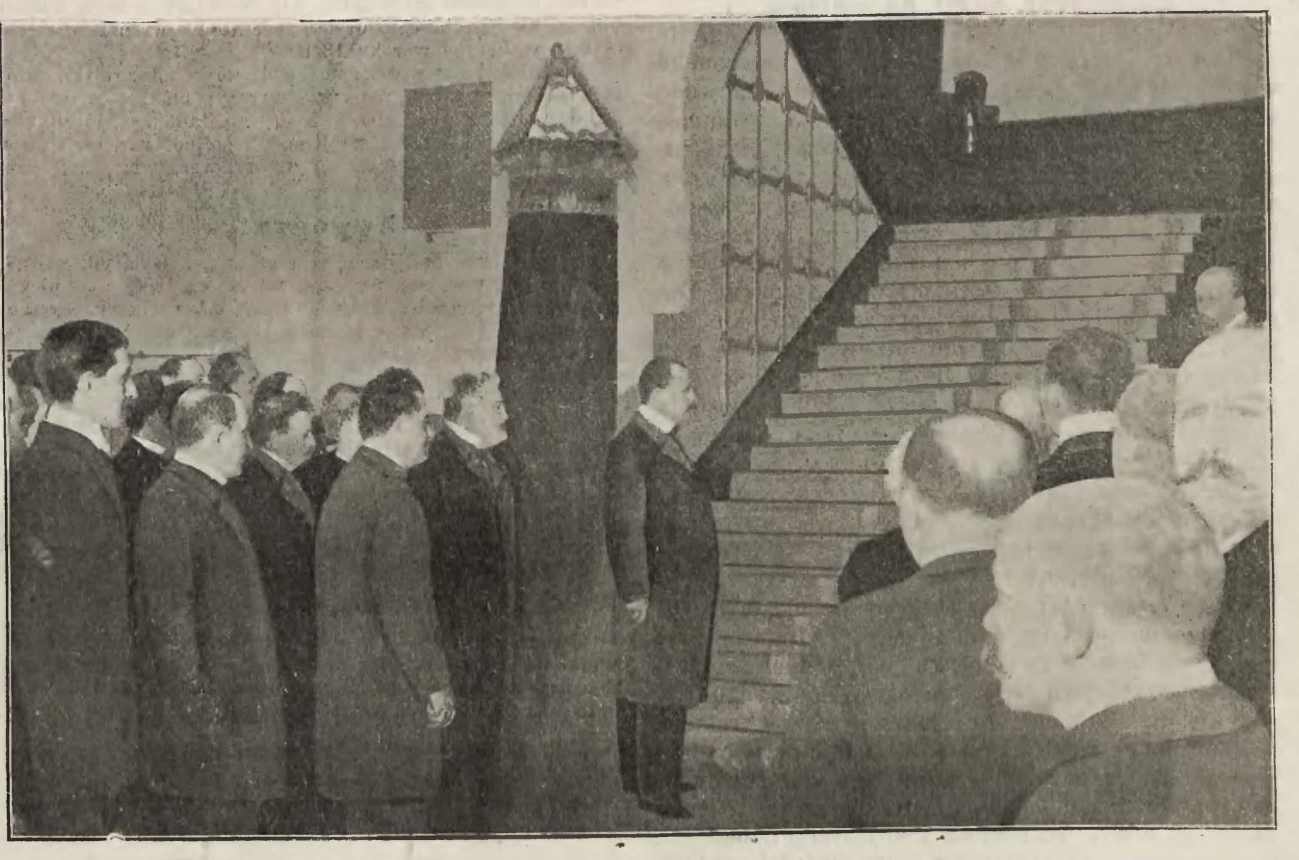
Scen, które się rozgrywały w dworze w Płonnej podczas akcyi ratunkowej, a zwłaszcza, kiedy śmierć obu młodych ludzi została stwierdzoną, nie zdolneby było opisać żadne pióro. Zrozumieć je jednak można łatwo.

Śp. Stefan Janowski, właściciel Falijówki i porucznik dragonów, liczył 38 lat życia i ożenił się przed 4 miesiącami z p. Gniewoszanką z Nowosielec; w najbliższym czasie miał się spensyonować i poświęcić się wyłącznie gospodarce. Zostawia żonę w stanie błogosławionym.

Młodszy od niego o 3 lata Stanisław Leszczyński, który był urzędnikiem Rady powiatowej sanockiej, ożenił się dopiero przed pięciu miesiącami z p. Janowską z Falijówki, siostrą śp. Stefana.

Wstrząsający grozą swą tragiczny ten wypadek wywołał w całej ziemi sanockiej szczery, serdeczny żal, obaj bowiem zmarli odznaczali się wszelkiemi zaletami serca i charakteru i cieszyli się ogólną sympatyą.

Rycina nasza, którą obok zamieszczamy, przedstawia grupę uczestników uroczystości weselnej śp. St. Leszczyńskiego z p. Janowską. W pośrodku widzimy śp. Leszczyńskiego z poślubioną właśnie małżonką, na lewo w mundurze porucznika dragonów stoi śp. Stefan Janowski, a obok niego, ostatni na lewo, śp. Wł. Truskolaski, na którego pogrzebie zaszedł ten tragiczny wypadek.



Dr. Juliusz Leo.

Wskrzeszona kolebka gwiazd: Uroczystość poświęcenia odnowionego „starego teatru“ przy placu Szczepańskim w Krakowie 18 bm.; chwila odebrania przez prezydenta miasta dr. Juliusza Lea odrestaurowanego gmachu.

Wskrzeszona kolebka gwiazd.

Wskrzeszoną kolebką gwiazd teatralnych można by nazwać tę nową ozdobę Krakowa, jaką stanowi świeżo przebudowany „stary teatr“ przy pl. Szczepańskim, którego widok zewnętrzny i parę fragmentów z wnętrza zillustrowaliśmy niedawno w „Nowościach“. Wszak tu za Skorupki, za Koźmiana, rodziły się, pielęgnowały i rozwijały najświetniejsze gwiazdy polskiej sztuki dramatycznej z Modrzejewską i Rychterem na przedzie. To też świętem dla Krakowa był niedzielny akt poświęcenia przez ks. Caputę odnowionego gmachu i odebrania go z urzędu przez miasto po zupełnem ukończeniu prac architektów Stryjeńskiego i Mączyńskiego, podobnie jak wieczorem radości muzykalnego światka u nas był inauguracyjny koncert Tow. muzycznego w nowej, własnej siedzibie. Na uroczystość przybyło mnóstwo członków Rady miejskiej z prezydentem dr. Leo, magistrat z dyr. Grodyńskim, Tow. muzyczne z prez. prof. Krzymuskim i dyr. Barabaszem oraz liczni artyści, architekci itp. obok dziennikarzy. Żałujemy, że nieodpowiednie światło nie pozwoliło nam dokonać szeregu zdjęć fotograficznych z różnych momentów tej uroczystości, poprzestajemy tedy na jednej tylko illustracyi, wyobrażającej chwilę oddania miastu odnowionego gmachu, który stanie się teraz znów kolebką gwiazd świata muzycznego i innych gwiazd salonów, ile razy piękna sala koncertowa zamieni się na balową, najpiękniejszą dziś z sal krakowskich.

Sensacyjne odkrycia.

Sprawa ekskomisarza policyjnego w Alzacyi i Lotaryngii, Stephanyego, którego na żądanie rządu niemieckiego aresztowano w Zurychu, grozi rozrośnięciem się do niespodziewanych rozmiarów powodzi błota, w którem ugrzęźnie zupełnie „dobra sława“ urzędnictwa niemieckiego. Niczem była słynna książka Bilsego o tajemnicach „małego garnizonu“ wobec tego, co światu odkrywa Stephany o gospodarce biurokracyi niemieckiej w Alzacyi i Lotaryngii. Posiada on dokumenty, które odsłaniają rozpustę i kradzieże wysokich funkcyonaryuszy, uciskających naród i rujnujących finanse; dokumenty, zdradzające tajemnice tamtejszych oficerów policyi, którzy spędzają czas na konwojowaniu i pilnowaniu wagonów z panienkami, nadsyłanemi z Paryża, Londynu i Brukseli w celu zabawienia dławionych długami — panów ze sfer wysokich. — Ma on listy ciekawe z nazwiskami: jest tam niejedna sensacyjna sprawa, która powinna była skończyć się przed kratkami, a jednakże stłumiona została przez policyę. Dość, że człowiek ten wie bardzo dużo bezwątpienia, skoro na dostaniu Stephanyego w swoje ręce tak bardzo zależy rządowi niemieckiemu, który stara się nie dopuścić do ogłoszenia tych rzeczy tak gwałtownie i z takiem lekceważeniem zwyczajów i praw międzynarodowych.

Podzielimy się z Czytelnikami w swoim czasie ciekawemi odkryciami nowego Bilsego, a tymczasem podajemy jego podobiznę w grupie różnych funkcyonaryuszów tajnej policyi niemieckiej.

We własnej sieci.

Współczesna powieść kryminalna.

Z angielskiego przełożył M. S.

27 Ciąg dalszy.

— A jednak — młody Amerykanin, choć był dobrym inżynierem, grubo pomylił się w swoich rachubach! Jeśli bowiem sądził, że potrafi z zimną krwią popatrzeć w oczy ukochanej, to uczuł, że serce bije mu jak młotem i szalony lęk opanowuje go tem bardziej, im bliżej wskazówka na zegarze zbliżała się do siódmej godziny. Spokój, który z takim wysiłkiem wolę zdobył, pierzchnął jak mgła za podmuchem wiatru i ledwie zegar wskazał siódmą, już byłby zbiegł do czytelni, gdyby go nie powstrzymał komisarz Berman.

— Nie zapominaj pan, że panna Helena spodziewa się mnie zobaczyć, a nie pana! — tłomaczył mu, jak dziecku. — Ja więc zejdę najpierw i uprzedzę ją o pańskiem przybyciu!

Archer przyznał komisarzowi słuszność, a w jaki kwadrans później komisarz otworzył drzwi od jego pokoju i w progu stanęła młoda smukła dama z twarzą przysłonioną gęstą czarną woalką, na której widok Archer zerwał się z krzesła jak szalony i postąpił ku niej z wyciągniętemi rękami.

Ale skoro Helena zamiast mu paść w objęcia, trwożliwie stanęła przy drzwiach i oczy spuściła ku ziemi, Amerykanin opuścił ręce, a wyraz radości znikł z jego twarzy. W milczeniu przez chwilę spoglądał na ukochaną, aż wreszcie wyszeptał smutnie:

— Dzień dobry Heleno! Dziękuję ci, żeś tu przyszła i cieszę się niewymownie, że cię przecież znów oglądam!...

Chciał mówić spokojnie, obojętnie, ale głos zamierał mu w gardle i każde pojedyńcze słowo zdołał wyrzec dopiero przy użyciu całej siły swej woli. A Helena, która zapewne niezbyt zręcznie była przygotowaną na to spotkanie, uważała to chłodne przyjęcie za potwierdzenie listu i wiadomości Jumesa Piersona i z płaczem głośnym usunęła się na najbliższe krzesło. Archer spojrzał na nią z współczuciem.

— Helenko — rzekł wreszcie ze słodyczą — nie płacz i nie bój się, że przyjechałem tu po to, aby ci czynić wyrzuty! Nie potrzebujemy się dziś zwierzać przed sobą tak, jak dawniej, a ja... ja chyba nie mam nawet już prawa żądać tego od ciebie! Chciałbym tylko z twych ust słyszeć potwierdzenie tego, co słyszałem, szczerą odpowiedź na moje zapytanie... a potem — potem nigdy już nie będę prześladował cię moją osobą!...

Archer spodziewał się, że Helena padnie w jego ramiona, że zaprzeczy wszystkiemu, lecz ona siedziała, łkając tylko cicho. I Amerykanin pomyślał, że ciężko jej przyznać się do innej miłości, więc rzekł surowo, twardo, tak, jak sam nawet nie życzył sobie tego:

— Przecież nie będziesz się chyba zapierać, że ze swoim kuzynem Cezarem opuściłaś ukradkiem dom stryja i że przez kilka dni w towarzystwie tego młokosa używałaś wolności! Wiesz chyba dobrze Heleno, co świat mówi o takich historyach i jak się na nie zapatruje, a jednak... ja jednak, Heleno, niezważam na te plotki i na sądy ludzkie i kpić z nich będę, gdy mi powiesz, że nie uciekłaś sama dobrowolnie, że cię do tego zmuszono, że stało się to wszystko gwałtem, wbrew twej woli, sercu i przekonaniom!...

W sercu młodego dziewczęcia zaszła dziwna zmiana. Do tej pory czuła tylko do Archera głęboki żal za to, że wyrzekł się jej tak łatwo, że innej jakiejś podał swą rękę, lecz teraz wzbudziła się w niej duma kobieca i gniew. Łzy znikły z jej oczu, a twarz okryła się ciemnym rumieńcem. Po co ten człowiek przyjeżdżał tu z za oceanu, po co wzywał ją przez drugiego na rozmowę, skoro obchodził się z nią tak szorstko i tak niesprawiedliwie?!

Powoli podniosła się z krzesła i wytężając wszystkie swe siły rzekła pewnym, spokojnym głosem:

(Ciąg dalszy nastąpi).

Największy okręt na świecie.

Dajemy dziś czytelnikom podobiznę spuszczonego w tych dniach uroczyście wobec króla na wodę w Portsmouth, najnowszego pancernika wojennej marynarki angielskiej. Nazywa się on „Nieustraszony“ (Dreadnought), a jest istotnie największym na kuli ziemskiej okrętem, największym i najpotężniejszym pancernikiem wojennym, a zarazem najszybszym w biegu i najszybciej z wszystkich tego rodzaju kolosów morskich wykończonym. Budowa bowiem tego nowego potwora angielskiej floty, który kosztował około 50 milionów koron austryackich, trwała zaledwie 4 i pół miesiąca i ten niesłychany pośpiech z przygotowaniem go do boju w przedziwnej tajemniczości — budzi u polityków istną sensacyę. Ale co najważniejsza, że jest to pierwszy okręt, przy którego misternej konstrukcyi do celów bojowych zdołano już zastosować wszelkie doświadczenia strategiczne, poczynione podczas ostatniej wojny rosyjsko-japońskiej. Zużytkowano więc tutaj wszystko, co się okazało praktycznem w nowoczesnym systemie wojowania na morzu, co dawało zwycięstwo jednej flocie, a uniknięto wszystkiego tego, na czem źle wychodziła druga flota. Zamiast śrub ma więc ten okręt dla szybkości (21 węzłów) system turbinowy, co mu pozwala iść w zawody z najlotniejszymi krążownikami, a brak mu ciężkiej ostrogi stalowej; żeby zaś mógł razić przeciwnika z najdalszej odległości, ma artyleryę zreformowaną odpowiednio, złożoną z 18 dział szybkostrzelnych i 10 dział dwunastocalowych, podczas gdy najpotężniejsze dotychczasowe pancerniki mają ich zaledwie po 4 najwyżej. A działa te niosą celnie na odległość 10 tys. metrów, przebijając swymi pociskami pancerze stalowe 4 stóp grubości, czyli że „Nieustraszony“ o swych olbrzymich rozmiarach (18 tys. ton objętości), w swym niezwykle mocnym i grubym pancerzu, z maszynami parowemi o sile 23 tys. koni — mógłby sam skutecznie walczyć z całą dzisiejszą flotą niemiecką. (Illustracya na str. 14.

Odpowiedzi Redakcyi:

P. H. Mokrzycka w Turbii. Rozwiązanie otrzymaliśmy zapóźno, tak, że nie mogliśmy już zamieścić nazwiska Pani. Szarad ani logogryfu nie otrzymaliśmy.

Wszystkim Szan. PT. Czytelnikom, którzy nadesłali nam zagadki i szarady: Posiadamy w tece mnóstwo zagadek, tak, że nie możemy wszystkich nam nadesłanych odrazu zamieszczać. Przyjdzie jednak kolej i na nie; tylko cierpliwości!

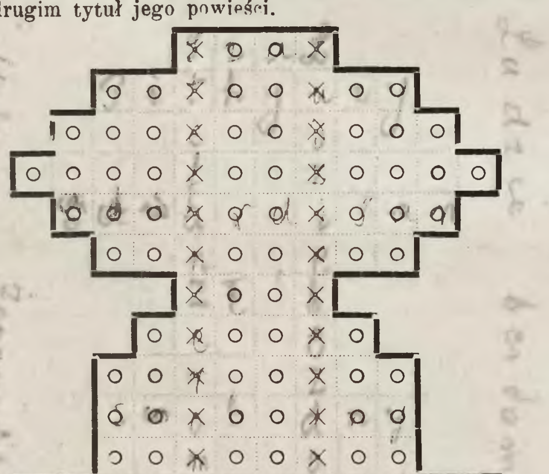
Uwaga.

Aby uniknąć wszelkich skarg ze strony Szan. Czytelników, których nazwisk nie zamieszczono w rzędzie tych, którzy nadesłali dobre rozwiązania, zaznaczamy raz jeszcze, że **rozwiązania należy nadsyłać najpóźniej do 10 dnia po wyjściu odnośnego numeru z zagadkami.** W ten tylko bowiem sposób możemy zamieszczać nazwiska wszystkich osób, dobre rozwiązania nadsyłających.

Zagadki do nagrody.

Zagadka.

Kółka i gwiazdki zastąpić literami w ten sposób, aby gwiazdki, czytane z góry na dół, dały w pierwszym rzędzie imię i nazwisko znakomitego powieściopisarza polskiego, a w drugim tytuł jego powieści.



Znaczenie wyrazów: 1. Okrycie, używane przez osoby płci obojej na Wschodzie na turbany i pasy. 2. Grupa wysp na morzu Śródziemnem. 3. Przysłowie łacińskie często u nas używane, a oznaczające bezprawie. 4. Znakomity uczony żydowski za czasów Machabeuszów. 5. Dwa imiona męskie połączone przez **i**. 6. Zwierzęta podobne do jeleni, żyjące na północy. 7. Główny sprzęt w stajni. 8. Popularny bohater słynnego romansu Goethego. 9. Jedna z ulubionych odmian goździka. 10. Inaczej wolny. 11. Znany owoc warzywny. 12. Nazwa długiego akcentu greckiego. 13. Nazwy dwóch państw, jednego w Afryce, drugiego w Europie północnej, połączone spójnikiem. 14. Nazwisko i imię znakomitego bibliografa i historyka, redaktora „Kroniki emigracyjnej“ w Paryżu w roku 1848.

Dla ułatwienia rozwiązania podajemy obok zgłoski, z których należy utworzyć powyższe wyrazy: an, bo, ca, co, cy, do, dny, du, fe, gna, glia, i, i, iu, jan, jan, jasz, jó, ju, kar, kie, ko, ma, me, mi, ni, non, pe, pi, po, po, raz, re, re, ris, ro, ry, ry, sien, swo, szal, ter, tu, ty, wer, wicz, zef, zek, zy, żłób.

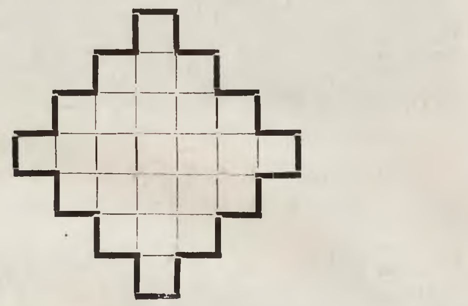
Logogryf.

Z sylab: bie, dra, dą, e, e, gier, gła, i, lach, mi, na, na, pern, ra, ra, rew, ros, róg, sta, taj, u, wa, wa, y, — ułożyć dwanaście wyrazów, których początkowe litery, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko dyrektora jednego z teatrów polskich.

Znaczenie wyrazów: 1. Imię żeńskie. 2. Rzeka na Węgrzech, wpadająca do Dunaju. 3. Waga, a zarazem moneta w Grecyi starożytnej. 4. Część twarzy. 5. Rzeka w Królestwie Polskiem wpadająca do Wisły. 6. Miasto w gubernii kaliskiej nad rzeką Ner. 7. Jezioro w Wielkiem Księstwie Poznańskiem po lewej stronie rzeki Noteci. 8. Miasto handlowe w Belgii nad rzeką Yperle. 9. Najwyższy szczyt w Tatrach. 10. Drobny przyrząd służący do szycia. 11. Bóg miłości u starożytnych. 12. Ptak z rodziny sokołów.

Kryptogryf.

Kwadraciki zastąpić literami w ten sposób, aby litery środkowe, czytane z góry na dół, utworzyły nazwisko znakomitego artysty teatru „Rozmaitości“ w Warszawie, autora granej obecnie często sztuki p. t.: „Bogusławski i jego scena“.



Znaczenie wyrazów: 1. Spógłoska. 2. Największy dopływ Wisły. 3. Prześliczna wyspa u wejścia do zatoki Neapolitańskiej z wspaniałemi grotami. 4. Nazwisko znakomitego artysty. 5. Inaczej działanie prawne, skarga. 6. Słynny jenerał japoński. 7. Samogłoska.

Arytmogryf.

W miejsce liczb wstawić litery w ten sposób, aby początkowe litery, czytane z góry na dół, utworzyły nazwisko bohatera, a końcowe, czytane w tym samym kierunku, nazwisko wielkiego poety polskiego.

1	2	3	2	1	4	3	5	6
4	7	8	3	4	6	9	1	10
11	12	10	13	14	17	15	16	17
17	15	13	3	12	17	15	16	1
10	3	3	2	12	2	18	18	10
5	6	4	3	15	13	14	10	13
9	19	2	12	13	20	1	4	12
15	2	3	4	18	14	10	1	10
1	3	21	7	13	12	10	13	17
4	14	2	17	13	12	10	17	15

Znaczenie wyrazów: 1. Pasmo gór w Tybecie. 2. Bohater z „Popiołów“ Żeromskiego. 3. Herb polski. 4. Owad podobny do chrząszcza, ale znacznie mniejszy. 5. Wielka rzeka w Indyach zagangesowych. 6. Inaczej amortyzacya. 7. Poeta i polityk bułgarski, zasłużony w pracy około odrodzenia Bułgarów. 8. Nazwa ciałek zarodkowych u roślin skrytokwiatowych. 9. Miasto w Prusach zachodnich. 10. Historyk polski.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza redakcya **wspaniałą bombonierkę czekoladek** z cukierni lwowskiej J. Michalika w Krakowie.

Rozwiązanie zagadek z Nru. 6.

Kryptogryf.

K o n s y l i a r z
o w a d
r y b y
n a d N i e m n e m
e l e g i e
l i c e n m
U p
j a b ł k o
e r e m i t a ż
j e n e r a ł o w a
s p ó r
k o ł ó
I n o w r o c ł a w

Kornel Ujejski — Z dymem pożarów.

Zagadka:

W i e K
S y b i l a
p s t r ą g
r e p o r t e r
N i n i w a
M a r w a r
D ź w i ń s k L i t v n
p o s p i e c h
B a e k a r g a n d
M i n d e n
p o S ł o n e k
R o t o r d a m
S i a r k a n y
M o n r o W i a
M i n i e h
M a s a l s k i
p a ł k i e r z
L i t w a P o l s k a —
W y z w o l e n i e

Stanisław Wyspiański. — Klątwa, Legenda, Wesele,

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: J. Rodakowska Kulików, H. Karatnicka Nadwórna, M. Świtkowska Kraków, A. Batko Lwów, H. Ulrych Malin, H. Szczerbowa Majdan, Z. Ciechanowska Stary Sambor. St. Smolawska Stare Sioło. Bl. Pieterkiewicz Czerniowce, F. Kulesza Kraków, J. Wesoła Lwów, Al. Pukalski Andrychów, E. Kawiński Pruchnik. St. W. Andrysik Kraków, A. Miłkowski Bełz, K. Bobek Kraków, K. Fuchs Peczyniżyn, J. W. Czaczka Rzeszów. B. Ramułtowa Jeżów, Zb. Ehrenberg Kraków, St. Łaszkiewicz Dębica, N. Auerówna Podgórze, O. Piotrowska Kraków. J. Jaroszkówna Nowy Sącz, L. Seimówna Kraków, H. Mokrzycka Turbia, M. Opolska Czarny Dunajec, K. Jurkiewicz Tłumacz, M. Czaplicka Skierniewice, S. Czaplicka Skierniewice, Tow. „Zgoda“ Krosno, Fr. Niepokój Krosno, Br. Weismanówna Limanowa. St. Szwabowicz Żurawno, J. Lipińska Okno. St. Gajdeczka Zapałów, H. Zielińska Manajów, M. Arbesbauer Lwów, Al. Bocsoń Bóbrka, A. Miesesówna Przemyśl, J. Badura Rożdzień, J. Gawrońska Tatarów, E. Suchomel Tartarów, H. Doening Schodnica, M. Zollnerówna Tarnopol, Wł. Nowi cy Wiśnicz, L. Weissowa Stryj, T. Domain Sanok, M. Rożański Gorlice, L. Proszowska Warszawa, A. Zimer Mikulińce, St. Waśniewski Kozów, J. Bielawski Brzeżany, M. Gałuszkiewicz Lwów, St. Palczewski Felsztyn, J. Wł. Łękawica. M. Gieszczykiewicz Kraków, M. J. Żankowski Popielniki, H. Plechawska Stanisławów, K. Reiter Stanisławów, J. Świerczewska Lwów, A. St. Bassara Niwiska. E. Wiśniowska Sulimów, Czytelnia i resursa mieszczańska Kęty, L. Fortuna Kęty, J. M. Kudas Krempna. Kółko rolnicze Majdan zbydniowski, K. Chodkiewicz Zbydniów, L. Świeżawska Gładyszów, S. Urbanowska Warszawa,

Nagrodę przez losowanie otrzymała pani **Helena Plechawska** w Stanisławowie. Prosimy o nadesłanie 72 halerzy na koszta przesyłki.

Kącik humorystyczny.

Ostatnia wola.

Pan B. czując się bardzo chorym, kazał zawołać notaryusza, by zrobić testament.

— Mojej żonie — rozporządził w pierwszej linii — przeznaczam 1000 złr. renty.

— A co będzie w takim razie, jeśli będąc jeszcze młodą, wyjdzie za mąż powtórnie? — pyta notaryusz.

— W takim razie otrzyma 2000 złr. renty.

— Jakto? Dwa razy tyle?

— Tak. Człowiekowi, który z nią się ożeni, należy się jakieś odszkodowanie. Niech wie, że z nim współczuję. Pisz pan 3000 złr. rocznie.

Bankierska logika.

Pan bankier... łoży dużo pieniędzy na kształcenie syna w muzyce i trzyma mu pierwszorzędnych metrów. Natrafiwszy raz właśnie na lekcyę, pyta profesora: „Ny, jak tam prosze pana idzie z muzyką? Czy pan kontent z mego Awrumele?

— Tak, palcami zręcznie już przebiera po klawiszach, ale do taktu grać nie może się jakoś przyzwyczaić i zawsze gdy ma grać wedle ó s e m e k, on gra wedle s z e s n a s t e k.

— Mądrze robi — odpowiada bankier — zawsze go przyzwyczajałem do oszczędnoszczy! Jak mu starczy szesnastka, to po co ma czas tracić na ósemkę, kiedy przez ten czas zrobi dwie szesnastki!...

Numer niniejszy zawiera 58 illustracyj.